



ELISABETH
GASKELL

SZARA
DAMA

Elizabeth Gaskell

Szara Dama



Fundacja FESTINA LENTE

Na brzegu rzeki Neckar stoi młyn wodny, przy nim ogródek, do którego uczęszczano na kawę, jak to jest w zwyczaju w Niemczech. Położony na drodze z Mannheimu do Heidelbergu młyn ten nie przedstawiał ani wyjątkowo pięknego widoku, ani specjalnych ponęt; ale za dobrze zbudowanym domem młynarza znajdował się ogród, wprawdzie niezbyt umiejętnie utrzymany, lecz pełen kwiatów, wierzb i altanek, ocienionych pnączami. W każdej altance stał stolik pomalowany na biało i kilka krzesełek.

Zaszłam tam w 184.. r. z kilkoma przyjaciółmi na kawę. Stary, dobrej tuszy młynarz wyszedł powitać nas uprzejmie, gdyż znał osobiście parę osób z naszego kółka. Był to dobrze zbudowany człowiek o wesołym, sympatycznym głosie i pogodnych, rozumnych oczach; ubrany w garnitur z cienkiego sukna, sprawiał wraz z całym otoczeniem dodatnie wrażenie. Drobiu różnego rodzaju nie brakowało na dziedzińcu, należącym do młyna, gdyż pożywienia było dużo, a młynarz całymi

garściami rzucał ziarno z worka; toteż kury i koguty zlatywały się do niego. Ot i teraz drobiazg ten laził mu prawie pod nogi, a on z kieszeni rzucał im przysmaki, co mu nie przeszkadzało wcale w rozmowie z nami i w wydawaniu rozkazów służącej, ażeby nam szybko przyniosła podwieczorek. Wszedł za nami do altanki zobaczyć, czy czego nie zapomniano, po czym obszedł i inne, ażeby sprawdzić, czy wszyscy goście są dobrze obsłużeni; podczas tego spaceru ów zadowolony i szczęśliwy człowiek pogwizdywał jedną z najsmutniejszych melodii, jakie zdarzyło mi się słyszeć.

— Młyn ten, a raczej grunt — objaśnia ktoś ze znajomych — od niepamiętnych czasów jest własnością jego rodziny. Mówię grunt, bo już dwa razy młyn był spalony przez Francuzów, toteż jeśli kto chciałby doprowadzić Scherera do wściekłości, niech tylko wspomni Francuzów.

W tej właśnie chwili młynarz, skończywszy przegląd, schodził po schodkach z nieco wyżej położonego ogródka do swego mieszkania, pogwizdując wciąż ową tęskną nutę. Nie mieliśmy zatem sposobności wywołania jego gniewu.

Zaledwie skończyliśmy pić kawę z dobrymi ciasteczkami, kiedy grube krople deszczu zaczęły padać na nasze liściaste pokrycie; krople te, zrazu rzadkie, przemieniły się w ulewę, tak że wszyscy goście

spiesznie poczęli uciekać, jedni do oczekujących na nich powozów, drudzy w poszukiwaniu innego schronienia.

Na schodkach ukazał się młynarz z ogromnym czerwonym parasolem, za nim córka i parę służących uzbrojonych też w parasole.

— Wejdźcie, państwo, do domu, bardzo proszę! To letnia burza, która równie prędko przeleci, jak przyszła. Proszę za mną.

Skorzystaliliśmy z zaproszenia i weszliśmy naprzód do kuchni. Takiego szeregu błyszczących blaszanych i miedzianych naczyń nigdy jeszcze nie widziałam, a drewniane statki w niczym im nie ustępowały. Ceglana podłoga była nieposzlakowanej czystości, gdyśmy tam weszli, ale w przeciągu paru minut przybyli zabłócili ją nie do poznania, co nie przeszkadzało gościnnemu młynarzowi wprowadzać pod swoim parasolem coraz nowych gości. Nawet psom wskazał legowisko pod stołem.

Córka powiedziała coś do niego po niemiecku, na co wesoło kiwnął głową, a wszyscy się roześmieli.

— Co ona mu powiedziała? — zapytałam.

— Żeby sprowadził jeszcze kaczki; ale doprawdy, jeśli więcej osób przyjdzie, to się udusimy. Już powietrze było parne przed burzą, a tu gromada ludzi w

przemoczonych ubraniach! Po prostu jesteście w łaźni; spytam się, czyby nie można odwiedzić pani Scherer.

Mój przyjaciel udał się do córki z prośbą o pozwolenie odwiedzenia jej matki, a po chwili zaproszono nas do bardzo małego, ale jasnego saloniku, z widokiem na Neckar. Posadzka była świecąca i mocno wywoskowana. Wąskie wysokie lustra, odbijające widok rzeki, biały porcelanowy piec ze starodawnymi mosiężnymi ozdobami, kanapa kryta Utrechtem ze stołem stojącym przed nią na włóczkowym ręcznie wyszywanym dywaniku, wazon ze sztucznymi kwiatami stojący na stole, stanowiły umeblowanie. Przy saloniku tym była alkowa, w której na łóżku leżała sparaliżowana żona młynarza, robiąc pończochę.

Mój przyjaciel prowadził z gospodynią rozmowę w języku dla mnie niezrozumiałym, ja zaś rozglądałam się wokoło i ujrzałam w ciemnym kącie pokoju obraz, którego przedtem nie spostrzegłam.

Był to portret nadzwyczaj pięknej młodej dziewczyny, widocznie ze średniego stanu, o wyrazie tak subtelnej wrażliwości, iż odczuwało się prawie, że raził ją śmiały wzrok malarza, z jakim się w nią wpatrywał. Ubiór jej wskazywał, iż musiała być malowana w drugiej połowie zeszłego wieku.

— Proszę — rzekłam, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie — niech się pan zapyta, czyj to portret?

Znajomy mój powtórzył moje zapytanie i otrzymał długą niemiecką odpowiedź, którą mi przetłumaczył.

— To jest portret ciotecznej babki młynarza — rzekł, stanąwszy za moimi plecami, wpatrując się w urocze oblicze — wprawdzie niezbyt artystycznie malowany, ale z widocznie uchwyconym podobieństwem. Patrz pani, tam na stronicy otwartej Biblii wyryte nazwisko: „Anna Scherer 1778 r.”. Pani Scherer mówi, że w rodzinna tradycja mówi, iż to dziewczę o cerze liliowej i różanej zarazem, wskutek doznanego przerażenia, tak straciło w jednej chwili swoją świeżość, że przezwano je Szarą Damą. Żyła ona podobno w nieustającej trwodze, ale pani Scherer nie zna dokładnie jej losów, odsyła nas do męża, który podobno posiada pamiętnik, pisany dla córki przez tę osobę z portretu. Umarła tutaj, w krótkim czasie po ślubie obecnych właścicieli. Chce pani, to możemy prosić Scherera o ten pamiętnik.

— Ach, tak, bardzo byłabym z tego rada.

W tej właśnie chwili wszedł młynarz z zawiadomieniem, że posłał do Heidelbergu po powozy, bo niebo tak się naokoło zachmurzyło, iż całą noc może trwać ulewa.

Podziękowawszy mu, zapytaliśmy o portret. Wyraz jego twarzy zmienił się.

— Ciotka Anna — odrzekł — miała smutne życie, a to przez jednego z tych piekielnych Francuzów. Również jej córka cierpiała z tego powodu. Nazywaliśmy ją kuzynką Urszulą. Była ona córką jej i tego niegodziwca. Dzieci odpokutowują winy rodziców. Pani chciałaby dowiedzieć się więcej? Mam tu jej pamiętnik, napisany w celu usprawiedliwienia się przed córką, dlaczego jej matka nie mogła się zgodzić na małżeństwo Urszuli z ubóstwianym przez nią człowiekiem. Pismo to wpłynęło na zerwanie tego małżeństwa i Urszula, nie mogąc się pocieszyć po stracie ukochanego, nie chciała wyjść za mąż, choć mój ojciec chętnie byłby się z nią ożenił.

Mówiąc to, Scherer otworzył szufladę biurka i przeszukawszy ją, wyjął zwitek papierów, które mi wręczył z prośbą, żebym mu je odesłała po przeczytaniu.

Tym sposobem dostał się do moich rąk rękopis, który przetłumaczyłam, skróciłam i który tu podaję. Zaczynał się on od rozpaczliwego błagania o przebaczenie córki za ból, jaki musi jej zadać. Widocznie pismo to wywołane było jakąś gwałtowną sceną między matką, córką i kimś trzecim; trudno by

jednak było w tym się połapać, gdyby nie poprzednie objaśnienia młynarza.

„Nie kochasz dziecka twego, matko! Nie obchodzi cię, iż rozdzierasz mu serce!” O Boże! Te słowa mojej ukochanej Urszuli brzmieć mi będą w uszach aż do śmierci. Jej zapłakane oblicze wciąż mam przed oczyma! O dziecię moje, serca nie pękają z bólu, a życie równie jest twarde jak ciężkie. Ale nie będę stanowiła za ciebie; opowiem ci wszystko, a ty sama zadecydujesz. Może się mylę, nigdy nie posiadałam zbytnej mądrości, a życie stępiło mój umysł, lecz rozum zastępowałam instynktem, a ten mi mówi, że nie wolno ci zaślubić twojego Henryka. Być może, iż nie mam słuszności; pragnęłabym tego, skoro chodzi tu o twoje szczęście. Przeczytaj to pismo, poradź się księdza i sama postanów. O jedno tylko proszę, żebyś nigdy ze mną o tym, co przeczytasz, nie mówiła; wszelakie pytania byłyby dla mnie torturą, gdyż odnowiłyby wszystkie moje cierpienia.

Mój ojciec — jak ci wiadomo — posiadał młyn nad Neckarem, w którym obecnie mieszka twój świeżo odnaleziony wuj Scherer. Przypomnij sobie, z jakim zadziwieniem przyjęto nas tam rok temu; z jakim niedowierzaniem twój wuj patrzył na mnie, gdym mu powiedziała, że jestem jego siostrą Anną, którą on już miał za umarłą; jak musiałam cię umieścić pod moim

portretem, ażeby udowodnić niedające się zaprzeczyć podobieństwo, oraz przypominać najdrobniejsze szczegóły naszego dzieciństwa, kiedyśmy jako szczęśliwe dzieci bawili się razem, zwyczajem naszego ojca, nieomal słowa, któreśmy ze sobą zamieniali.

Nareszcie Fryc uwierzył; zawołał żonę i powiedział jej, że jestem jego siostrą Anną, która —choć bardzo zmieniona — powróciła do ojcowskiego domu. Nie chciała wcale temu wierzyć, mierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, dopiero gdym ją zapewniła, gdyż znałam dobrze Babetę, że żyję w dostatku i wcale nie dla otrzymania wsparcia wróciłam do rodziny, raczyła zapytać, i to zwracając się do męża, dlaczego tak długo się ukrywałam i pozwoliłam, żeby ojciec i brat mieli mnie za umarłą. Brat mój odpowiedział na to, że wcale nie nalega, ażebym mu opowiadała wypadki mojego życia, skoro na to nie mam ochoty; wystarcza mu, że jestem jego ukochaną Anną, która była radością jego młodości i będzie błogosławieństwem starości. Za te słowa podziękowałam mu z głębi serca; widząc jednak, do jakiego stopnia bratowa nie była mi rada, postanowiłam zmienić powzięty przedtem zamiar zamieszkania w Heidelbergu, coby mnie było zbliżyło do brata. Prosiłam tylko Fryca, ażeby mi przyrzekł, iż w razie mojej śmierci zaopiekuje się moją Urszulą jak swoim własnym dzieckiem.

Ta Babetta Mueller była powodem wszystkich moich nieszczęść. Była ona córką piekarza z Heidelbergu i słynęła z urody, że zaś ja, jak to można wnosić z mojego portretu, byłam też uznana jako piękność, przeto Babetta uważała mnie za rywalkę. Lubiła być podziwianą, gniewało ją, gdy nie dość ją podziwiano. Zaś ja miałam ojca, brata, starą służącą Kasię i głównego czeladnika Karola, którzy mnie ubóstwiali; wszędzie też, gdzie się pokazałam, wzbudzałam zachwyt i nazywano mnie piękną młynarzówną".

Były to pogodne, szczęśliwe czasy. Kasia pomagała mi w zajęciach domowych, stary kochany ojciec zawsze był zadowolony ze wszystkiego; o ile bowiem był wymagającym dla młynarczyków, o tyle pobłażliwym dla nas kobiet. Lubił bardzo Karola, i jak dziś miarkuję, życzył sobie, żebym go poślubiła, co się zgadzało z pragnieniem czeladnika. Ten jednakże był gwałtowny i szorstki, wprawdzie nie względem mnie, lecz względem innych, więc go unikałam, co zapewne musiało mu robić przykrość. W tym czasie Fryc ożenił się i Babetta zajęła miejsce gospodyni w młynie. Nie bardzo mnie obeszło ustąpienie z mojego stanowiska, gdyż zarząd dużym gospodarstwem (co wieczór do kolacji siadało nas jedenaścioro) sprawiał mi niejaką trudność, ale zabolalo mnie mocno, kiedy Babetta

zaczęła łąać niesłusznie moją wierną Kasię. Zauważyłam też, że nastawała na Karola, żeby się oświadczył i jak najprędzej zabrał mnie do swego domu. Mój ojciec był stary i nie spostrzegał mojego udręczenia. Im bardziej Karol starał się mi przypodobać, tym bardziej go nie lubiłam; nie miałam wcale ochoty do zamażpójścia.

Tak stały rzeczy, kiedy otrzymałam zaproszenie od koleżanki, z którą żeśmy się bardzo lubiły, ażeby ją odwiedzić w Karlsruhe. Co prawda, niezbyt wielką miałam ochotę jechać, gdyż byłam nieśmiała i nie lubiłam znajdować się między obcymi, ale Babetta nalegała i w rezultacie mój wyjazd został postanowiony poza moimi plecami; przedtem jednak ojciec i Fryc zasięgnęli wiadomości o pani Ruprecht, matce mojej przyjaciółki Zosi. Dowiedzieli się, iż była wdową po jakimś urzędniku wielkiego księcia, że nie była bogata, ale za to ze szlacheckiego rodu, bardzo szanowana i że miała dwie córki. Wobec tego ojciec nie miał nic przeciw mojemu wyjazdowi, Babetta gwałtem nań namawiała i wywierała w tym kierunku wpływ na mojego brata. Jedną tylko Kasia, a obok niej Karol byli temu przeciwni, i właśnie ten jego w niezręczny sposób ujawniony upór sprawił, że uległam namowom Babetty i prośbom Zosi. Pamiętam, że drażniło mnie, iż Babetta wtrącała się do tego, jakie suknie mam ze sobą zabrać, i

że za ojca pieniądze kupowała, nie zawsze w moim guście, to czego w mojej toalecie brakowało.

W końcu opuściłam dom rodzicielski, a Fryc odwiózł mnie na samo miejsce. Koleżanka moja mieszkała w śródmieściu w niewielkim dziedzińcu, do którego wejście było od ulicy na trzecim piętrze. Przypominam sobie, jak małymi wydały mi się pokoiki, a jednak zaimponowały mi swoją elegancją, mimo że na meblach znać było zab czasu. Pani Ruprecht była za wielką damą dla mnie; wobec niej nie czułam się nigdy swobodna, Zosia natomiast była równie jak kiedyś w szkole miła, serdeczna, psująca mnie swoimi pochwałami. Mała siostrzyczka trzymała się na uboczu, nie narzucając nam swego towarzystwa.

Utrzymanie towarzyskich stosunków było jedynym celem życia pani Ruprechtowej, a że po śmierci męża znalazła się w bardzo trudnych warunkach materialnych, przeto żałowała sobie w codziennym życiu wszystkiego, byle na zewnątrz zachować pozory dostatku, w zupełnym przeciwieństwie do zwyczajów przyjętych w domu mojego ojca. Przypuszczam, że pani Ruprechtowa niezbyt była rada z mojego przybycia, boć trzeba było żywić jedną osobę więcej, ale Zosia tak ją o zaproszenie mnie przez cały rok molestowała, że wreszcie uległa; a była zbyt dobrze wychowana, ażeby mi okazać niechęć.

Życie w Karlsruhe różniło się bardzo od tego, do którego byłam przyzwyczajona w domu. Wstawano później, oszczędzano na potrawach, mięso podawano bez dodatków, za to ubrania były strojniejsze i trwały ciągle wieczorne przyjęcia. Te bezustanne odwiedziny nie były w moim guście. Robienie pończoch nie było przyjęte, siadywałyśmy tedy w zwartym panieńskim kółku, rozmawiając ze sobą, a tylko od czasu do czasu któryś z panów odłączał się od radzącej przy drzwiach grupy mężczyzn, przybliżał się na palcach z kapeluszem pod pachą, i stając w trzeciej pozycji przed damą wybraną, niskim ukłonem zapraszał ją do tańca.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tę ceremonię, nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, lecz nazajutrz pani Ruprecht, która to spostrzegła, napomniała mnie surowo:

— Na twojej zapadłej prowincji — rzekła do mnie — nie mogłaś poznać zwyczajów francuskich i tych, jakie są przyjęte na dworach, ale nie przystoi, żebyś się z nich wyśmiewała.

Staralam się tedy jak najmniej uśmiechać w towarzystwie. Pojechałam do Karlsruhe w 1789 roku; wtedy, kiedy oczy wszystkich były zwrócone na wypadki, jakie się rozgrywały w Paryżu; a jednak zajmowano się w towarzystwie modami paryskimi więcej niż polityką; zwłaszcza Ruprechtowa uwielbiała

wszystko, co z Francji pochodziło. W moim rodzinnym domu przeciwnie – nie cierpiano Francuzów, i jedynym zarzutem, jaki Fryc stawiał moim odwiedzinom, było to, iż Ruprechtowa kazała się nazywać zamiast Frau, Madame.

Pewnego wieczoru siedziałam z Zosią w oczekiwaniu kolacji i chwili, kiedy wrócimy do swego pokoju i będziemy się mogły z sobą nagadać, czego nam pani Ruprecht stanowczo w towarzystwie wzbronila. Do pokoju weszli dwaj panowie, z których widocznie jednego nikt nie znał, gdyż go bardzo formalnie przedstawiono najpierw gospodyni domu, a potem ogólnie całemu towarzystwu.

Nigdy wcześniej nie widziałam równie pięknego i wytwornego człowieka. Miał naturalnie upudrowane włosy, lecz można było wnosić z białości cery, że jest blondynem. Rysy miał regularne i prawie za delikatne jak na mężczyznę, a dwie muszki, jedna przy ustach, druga pod okiem, stosownie do ówczesnej mody, podnosiły jeszcze jego wdzięki. Ubranie miał niebieskie przerabiane srebrem.

Byłam tak oczarowana jego postacią, że uradowałam się, gdy gospodyni domu przysłała mi go przedstawić. Okazało się, że nazywa się Monsieur de la Tourelle. Zaczął ze mną rozmowę po francusku; aczkolwiek doskonale rozumiałam, nie odważyłam się

odpowiadać w tym języku; przeszedł tedy na niemiecki. Mówił nim z lekkim seplenieniem, które wydawało mi się uroczym. Przed końcem wieczoru jednak, zmęczył mnie trochę jego wyszukany, zbyt ugrzeczniiony, pełen słodyczy i przesadzonych komplementów, sposób mówienia, który w dodatku zwrócił na nas uwagę całego towarzystwa. Pani Ruprechtowa wszakże była bardzo zadowolona, gdyż będąc próżna, lubiła, żeby już jeśli nie jej córka, to przynajmniej przyjaciółka tejże, robiła sensację; toteż przy pożegnaniu zamieniła z panem de la Tourelle kilka uprzejmych słówek, z których wniosłam, iż ów Francuz odwiedzi nas nazajutrz. Myśl o tym może bardziej mnie przestraszyła, niż ucieszyła, bo już miałam dosyć górnolotnych i zbyt wymuskanych grzeczności tego arystokratycznego młodzieńca. Wszelako pochlebiało mi mocno, iż pani Ruprecht powiedziała, że go zaprosiła tylko przez wzgląd na to, iż mnie tak nadskakiwał, a Zosia z radosnym uniesieniem dodała, że podbiłam wstępnym bojem serce tego dżentelmena.

Następnego dnia kazano mi się ubrać w najładniejszą suknię, a i gospodynie wystroiły się na jego przyjęcie. Swoją drogą, miałam ochotę wymknąć się z saloniku, gdy usłyszałam jego głos w przedpokoju. Po jego wyjściu pani Ruprechtowa powinszowała mi podboju. Rzeczywiście, pan de Tourelle, zamieniwszy z

domownikami tylko tyle słów, ile konieczna grzeczność wymagała, wyłącznie mną się zajmował i nieledwie sam zaprosił się na wieczór, oznajmiając, iż przyniesie najnowsze pieśni, które teraz wszyscy w Paryżu śpiewali. Pani Ruprecht powiedziała mi, że cały ranek biegała, ażeby zasięgnąć wiadomości o panu de Tourelle. Posiadał on zamek i ziemię w Wogezach, a oprócz tego duże dochody z innych źródeł; słowem – według niej – stanowił świetną partię. Nie przychodziło jej nawet do głowy, żebym mogła mu odmówić, i mam to przekonanie, że gdyby ktoś równie majątny był się starał o Zosię, to nie pytając jej o zdanie, byłaby ją wydała, choćby nawet był stary i wstrętny w przeciwieństwie do pana de Tourelle.

Tyle wydarzeń od tego czasu przeszło, iż nie umiem sobie obecnie zdać sprawy, czy go kochałam. Był ogromnie we mnie zakochany i niekiedy przerażał mnie wybuchami swojej miłości. Wszyscy przy tym byli zachwyceni jego uprzejmością, jego rzadkimi zaletami i uważali mnie za najszczęśliwszą z dziewcząt. Nigdy jednak nie czułam się swobodną w jego towarzystwie i byłam zadowolona, kiedy odchodził, choć z drugiej strony, kiedy go nie było, brakowało mi jego towarzystwa. Przedłużał umyślnie swój pobyt w Karlsruhe, ażeby się o mnie starać, obsypywał mnie prezentami, lecz nie mogłam odmawiać, gdyż pani

Ruprecht na to nie pozwalała. Dary te były to najczęściej stare kosztowne klejnoty, należące widocznie do jego rodziny; a przyjmowanie ich ścieśniało, mimo mej woli, węzły pomiędzy nami. W owych czasach rzadko się zamieniało listy, i w tych niewielu, jakie do domu pisałam, nie wspominałam o panu de Tourelle, wszelako po jakimś czasie dowiedziałam się ze zdumieniem, że pani Ruprecht zawiadomiła ojca o świetnej partii, jaka mi się trafiła, i prosiła go o przybycie na zaręczyny. Nie przypuszczałam wcale, żeby aż tak daleko zaszło. Na tę moją uwagę Ruprechtowa wybuchnęła oburzeniem:

— Jak to — rzekła — więc przyjmowałeś starania pana de Tourelle, jego nadskakiwania, kosztowne dary, a teraz wahasz się, czy wyjść za niego? Cóż to za postępowanie!

Miała po części rację, tylko że ja byłam bardzo młoda, niedoświadczona i nie miałam wielkiej ochoty poślubienia pana de Tourelle, przynajmniej tak nagle. Cóż tedy miałam zrobić, musiałam ulec woli silniejszej od mojej.

Dowiedziałam się później, że były pewne trudności. Oto ojciec i brat życzyli sobie, żebym wróciła do domu, a moje zaręczyny i wesele odbyło się w starym młynie. Wszelako pani Ruprecht, pan de Tourelle, a nade wszystko Babetta, byli temu przeciwni. Tej ostatniej

zależało na tym, żeby uniknąć kłopotu, przy tym na pewno była zazdrosna, że robiła na pozór partię o tyle świetniejszą. Niestety, gdyby to można wszystko przeczuć i przewidzieć!

Zatem mój ojciec z bratem przyjechali na zaręczyny. Mieli zatrzymać się w oberży w Karlsruhe przez dwa tygodnie, po czym ślub miał się odbyć. Pan de Tourelle zawiadomił mnie, iż musi na czas, dzielący te dwie uroczystości, udać się do domu, w celu załatwienia różnych interesów. Byłam z tego bardzo rada, bo jego stosunek do mego ojca i brata nie podobał mi się wcale. Wprawdzie był względem nich równie grzeczny, jak względem całej rodziny Ruprechtów, ale traktował ich z góry. Pewne obrzędy kościelne, do których ojciec przywiązywał dużą wagę, raziły mego narzeczonego. Spostrzegłam też, iż Fryc uważał jego przesadzone objawy uprzejmości za kpiny, i że jest tym mocno zdraśnięty. Co do spraw majątkowych pan de Tourelle okazał się tak bezinteresownym, że nie tylko zadowolił, lecz wprost zadziwił, tak mego ojca, jak brata. Tylko ja jedna byłam obojętna na wszystko; oszołomiona, zdesperowana, czułam się omotaną siecią, w którą mnie własna nieśmiałość i słabość charakteru wtrąciły i nie widziałam sposobu wydobycia się z tego położenia. Przez te dwa tygodnie lgnęłam do moich drogich jak nigdy przedtem; przy nich czułam się

swobodna, nie potrzebowałam uważać na każdy mój ruch, każde słowo, z obawy ażeby nie być strofowaną przez panią Ruprecht, lub napomnianą w nader uprzejmy sposób przez pana de Tourelle.

Pewnego dnia wyznałam ojcu, że wolałabym nie wychodzić za mąż i powrócić z nim do starego młyna; przyjął to jednak bardzo niedobrze, uważał bowiem, że obrzęd zaręczyn związał mnie już z moim narzeczonym. Zadał mi wprawdzie kilka poważnych pytań, lecz moje odpowiedzi nie polepszyły mego położenia.

— Czy wiesz o jakimś jego czynie, przez który mogłoby ominąć was boskie błogosławieństwo? Czy czujesz niechęć lub wstręt do niego?

Cóż mogłam na to odpowiedzieć? Wybąkałam tylko, że zdaje mi się, iż nie dosyć go kocham, ażeby zostać jego żoną, a mój biedny stary ojciec uważał to za kaprys dziewczęcy, dla którego nie można było się wycofywać, skoro już rzeczy zaszły tak daleko.

Ślub nasz zatem odbył się w zamkowej kaplicy, dzięki zabiegom pani Ruprecht, która uważała to za szczyt szczęścia. Stało się: byłam zaślubioną i po dwóch dniach spędzonych w Karlsruhe na weselnych uroczystościach, wśród nowych arystokratycznych znajomości, pożegnałam się na zawsze z moim drogim starym ojcem.

Prosiłam męża, żebyśmy przez Heidelberg pojechali do jego zamku, lecz pod jego pozorną zniechęcałością napotkałam taką stanowczość, jakiej się nie spodziewałam. Odrzucił moją pierwszą prośbę i to w sposób bezwzględny.

— Odtąd, moja Anno — rzekł — będziesz się obracała w zupełnie innym środowisku, zapewne od czasu do czasu będziesz mogła wyświadczyć jakąś uprzejmość swojej rodzinie, ale zażyłe z nią stosunki są niepożądane i nigdy na nie nie pozwolę.

Lękałam się po tym odezwaniu zapraszać ojca i brata, przy ostatnim jednak pożegnaniu zapomniałam o obawie i gorąco prosiłam, żeby mnie wkrótce odwiedzili; ale oni pokiwali na to smutnie głowami, mówiąc, że interesy nie pozwalały im opuszczać domu, że będziemy odtąd prowadzić odmienny tryb życia, że obecnie ja już jestem Francuzką. W ostatniej chwili ojciec, błogosławiąc mnie, wyrzekł wzruszonym głosem:

— Gdybyś kiedyś, moje dziecko — Boże uchwaj — była nieszczęśliwa, pamiętaj, że dom ojcowski zawsze stoi przed tobą otworem.

Na te słowa już miałam zawołać:

— O mój ojczy, mój drogi ojczy, zabierz mnie z sobą! — kiedy uczułam obecność mego męża tuż przy

sobie. Objąwszy nas pogardliwym spojrzeniem, wziął mnie za rękę i wyprowadził płaczącą ze słowami:

— Lepiej pożegnań nie przedłużać.

Jechaliśmy do zamku w Wogezach całe dwie doby, gdyż drogi były niedobre. Podczas tej podróży był mi całkowicie oddany, zdawało się, iż chciał najczulszą troskliwością zatrzeć gorycz pożegnania. Cóż, kiedy dopiero teraz odczuwałam w całej pełni przepaść, jaka mnie oddzieliła od mojej przeszłości i od moich ukochanych; to też nie byłam zbyt wesołą towarzyszką nużącej podróży. W końcu mój żal, spowodowany rozłąką z ojcem i bratem, tak zniecierpliwił pana de Tourelle, że zaczął być względem mnie przykrym, co mnie do reszty unieszczęśliwiło. Nie dziw też, że w tym usposobieniu widok „Les Rochers” wydał mi się ponurym. Z jednej strony zamek wyglądał jak sklecony naprędce budynek na jakiś tymczasowy użytek; nie zdobiły go ani drzewa, ani krzewy, natomiast mech porastał kupy nieuprzątniętych kamieni i gruzu; z drugiej zaś wznosiły się wysokie góry i skały, od których miejsce to brało swoją nazwę, i oparty o nie stał stary zamek, liczący kilka wieków.

Nie był on wielkim, ale malowniczym, i daleko byłabym wolała w nim zamieszkać, niż w wyświeconych, na wpół umeblowanych pokojach, jakie naprędce urządzono w nowym budynku na moje

przyjęcie. Te dwie, niepasujące zupełnie do siebie części zamku połączone były z sobą licznymi korytarzami, ukrytymi drzwiami, w których nigdy nie mogłam się zorientować. Pan de Tourelle zaprowadził mnie do pokoi przygotowanych dla mnie i oddał je uroczyście w moje posiadanie, przeprasząc, że z powodu pośpiechu nie mógł ich tak urządzić, jak byłby sobie życzył; obiecywał wszelako, że w przeciągu kilku tygodni nie będzie w nich brakowało nic, o czym by najbardziej wymagająca właścicielka mogła zamarzyć.

Wieczorem, a było to jesienią, kiedy spostrzegłam własne oblicze, odbijające się w lustrach obszernego salonu, którego spora liczba świec nie była w stanie należycie oświetlić, taki mnie lęk opanował, że przytuliwszy się do męża, prosiłam go, żeby mnie zabrał do pokoi, jakie zajmował przed ślubem. Choć starał się przykryć to śmiechem, spostrzegłam, że był rozgniewany i oparł się stanowczo mojemu życzeniu. Musiałam tedy zostać w owym wielkim salonie, w którym zdawało mi się, że otoczona jestem duchami odbijającymi się w zwierciadłach. Miałam oprócz tego buduarów trochę mniej ponury i sypialnię ze starymi wypłowiałymi meblami. Tam też najchętniej siadywałam, zamykając starannie wszystkie drzwi, prócz tych, którymi przychodził pan de Tourelle ze swoich pokoi, położonych w starej części zamku.

Widziałam, że go to drażniło i że zawsze starał się wyciągnąć mnie do salonu, którego coraz bardziej nie lubiłam, gdyż był oddzielony od reszty budynku długim korytarzem, na który otwierały się wszystkie drzwi moich pokoi. Korytarz ten zamykały ciężkie podwoje, przykryte grubą kotarą tak, że nie dochodził do mnie żaden odgłos z tego, co się działo w drugiej części domu; rzecz prosta, że i służba nie mogła usłyszeć mojego głosu.

Dla młodej dziewczyny, przyzwyczajonej do wspólnego wesołego życia rodzinnego, takie osamotnienie było wprost straszne; tym bardziej, że pan de Tourelle, jako właściciel ziemski i zapalony myśliwy, całe dni a czasem i po kilka dni spędzał poza domem. Nie byłam dumną i byłabym chętnie rozmawiała ze służbą dla przerwania mojej samotności, gdyby ta podobna była do naszej dobrodusznej niemieckiej służby. Cóż, kiedy wszystkich tych służących, od pierwszego do ostatniego, nie lubiłam, nie mogąc sobie zdać sprawy, dlaczego. Niektórzy z nich byli uprzejmi, lecz ich poufałość raziła mnie; inni byli wprost niegrzeczni, traktowali mnie, jak gdybym była nieproszonym gościem a nie żoną ich chlebodawcy; a jednak tych drugich jeszcze wolałam niż pierwszych. Główny kamerdyner należał do ostatnich; bałam się go jak ognia, okazywał bowiem

niesłychaną pewnością siebie i pewien rodzaj podejrzliwości względem mojej osoby; niemniej pan de Tourelle wysoko go cenił. Zauważyłam nawet, że Lefebvre rządził poniekąd swoim panem, wtedy gdy mnie się nie udawało mieć nad nim najmniejszego wpływu. Uważał mnie za drogocenne cacko, które pielęgnował, pieścił, ubóstwiał i starał się mu dogadzać, ale niedługiego czasu potrzebowałam, ażeby dojść do przekonania, że ani ja, ani może nikt nie mógł ugiąć żelaznej woli tego na pozór tak delikatnego i prawie zniewieściale wyglądającego człowieka. Nauczyłam się lepiej czytać w tym pięknym obliczu i widziałam, jak czasem z powodów, z których nie umiałam sobie zdać sprawy, śmiertelna bladość pokrywała je, usta wykrzywiały się kurczowo, a oczy rzucały stalowe, złowrogie blaski. Za mało jednak miałam przenikliwości, ażeby zdać sobie sprawę z tajemniczości mojego otoczenia. Wiedziałam, że z punktu widzenia światowego robiłam świetną partię, gdyż mieszkałam w zamku i byłam otoczona gromadą służby; wiedziałam, że pan de Tourelle kochał mnie na swój sposób, że był dumny z mojej urody, bo mi to często mówił; ale zarazem był zazdrosny, podejrzliwy i autokratyczny. Czułam, że byłabym mogła się do niego przywiązać, gdyby się był o to starał; ale byłam nieśmiała z natury, a on mnie przestraszał wybuchami

gniewu, które, nawet wśród uniesień miłości, niezręcznie jakieś moje słowo lub westchnienie tęsknoty za ojcem, nagle wywoływały.

Doszło do tego, że trwożliwie unikałam jego towarzystwa; a i to nie uszło mojej uwagi, że im więcej pan de Tourelle okazywał mi swoje nieukontentowanie, tym więcej zdawało się to cieszyć Lefebvra. Przeciwnie, gdy również bez powodu wracał mi swoją miłość, kamerdyner zerkał na mnie złośliwie z ukosa i odzywał się do swego pana bez żadnego uszanowania. Zapomniałam zaznaczyć, że mój mąż okazywał mi pewną pogardliwą litość z powodu obawy, jaką wzbudzał we mnie wielki a ponury salon. Napisał więc do magazynierki, która dostarczyła mi wyprawę z Paryża, ażeby wyszukała odpowiednią dla mnie, w średnim wieku pannę służącą, która by się zajęła moją toaletą, a w potrzebie mogła mi dotrzymywać towarzystwa.

Przysłana z Paryża pokojówka była Normandką i miała na imię Amanda. Była to wysoka, piękna, choć nieco chuda czterdziestoletnia kobieta. Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia, gdyż była dla mnie uprzejmą, bez poufałości, przy tym całe jej zachowanie tchnęło naturalnością i szczerością, do której byłam

przyzwyczajona od dzieciństwa, a której mieszkańcom Les Rochers tak bardzo brakowało. Pan de Tourelle zlecił jej, żeby stale przebywała w buduarce i była na każde moje zawołanie; przy tym żeby mnie zastępowała w zarządzaniu domem.

Uwaga, jaką zrobił pan de Tourelle w niespełna kilka tygodni, że jako wielka dama zanadto byłam poufałą z moją panną służącą, była zupełnie słuszna. Nie można się temu dziwić, urodzeniem byłyśmy sobie prawie równe: ona — córka normandzkiego krawca, i ja — córka niemieckiego młynarza; przy tym czułam się tak osamotnioną! Trudno było dogodzić memu mężowi. Wszak sam napisał, żeby przysłano osobę, która by mi mogła dotrzymywać towarzystwa, teraz zaś był o nią zazdrosny i złościł się, że śmiałam się z jej wesołych piosneczek i zabawnych conceptów, podczas gdy w jego obecności byłam zbyt zatrwożoną, żeby się móc uśmiechnąć.

Od czasu do czasu, mimo złej drogi, jakaś rodzina z sąsiedztwa przyjeżdżała do nas w odwiedziny w ciężkiej karecie, była też mowa o wyjeździe do Paryża, jak tylko się tam uspokoi; poza tym cały pierwszy rok mojego małżeństwa zszedł jednostajnie; jedynym urozmaiceniem były niespodziewane wybuchy gniewu, to znów gwałtownej miłości ze strony pana de Tourelle.

Jednym z powodów, dla których tak polubiłam towarzystwo Amandy, było i to, że podczas gdy wszyscy mieszkańcy zamku wzbudzali we mnie przestrah, ona nie bała się nikogo. Śmiało rozmawiała z Lefebvem, który ją za to szanował, a nawet stawiała czoło mojemu mężowi, zachowując przy tym należny mu szacunek. Mimo dosyć ostrego języka z innymi, względem mnie pełną była najczulszej tkliwości, a to tym bardziej, że wtajemniczona była w to, o czym jeszcze nie śmiałam panu de Tourelle powiedzieć; a mianowicie że spodziewałam się zostać matką; nadzieja tego wypadku roztkliwiała tę kobietę, która już nie spodziewała się mieć kiedykolwiek własnych dzieci.

Znów nadeszła jesień. Już pogodziłam się z moim mieszkaniem, nowy budynek nie wyglądał już tak ponuro, kamienie i gruzy były uprzątnięte i pan de Tourelle kazał mi urządzić mały ogródek, w którym starałam się hodować te kwiaty, do których byłam przyzwyczajoną od dzieciństwa. Poustawiałyśmy z Amandą meble według naszego gustu, pan de Tourelle sprowadzał od czasu do czasu jakiś elegancki sprzęt w celu zrobienia mi przyjemności, słowem oswoiłam się z moim pozornym więzieniem w części zamku, którego drugiej połowy nigdy nie zwiedziłam. Było to w październiku, dnie były piękne, lecz już krótkie, pan de Tourelle wyjechał był do swoich drugich oddalonych

dóbr, do których jeździł tak często, zabierając ze sobą Lefebvra i zapewne kilku innych służących, jak to zwykł był czynić. Czułam się swobodną w jego nieobecności, lecz zaczęłam to sobie wyrzucać, zastanawiając się, iż był on ojcem mojego przyszłego dziecka; starałam się wmówić w siebie, że to jego wielka miłość dla mnie powodowała zazdrość, wskutek której nie pozwalał mi mieć żadnej styczności z moim drogim ojcem.

Przechodziłam myślą wszystkie troski, ukryte za tym pozornie tak świetnym stanowiskiem; zdawałam sobie doskonale sprawę, że nikt tu o mnie nie dbał prócz mego męża i Amandy. Jako cudzoziemka i parweniuszka nie byłam lubiana przez tych nielicznych sąsiadów, którzy nas odwiedzali. Co zaś do służby, to żeńska jej część była śmiała aż do zuchwalstwa, udając względem mnie uszanowanie, pod którym aż nadto przebijały kpiny; męska zaś wyglądała tak dziko, że nawet nie wahała się hardo przemawiać do pana de Tourelle; ale też i on trzymał ich ostro i karał niekiedy z wielkim okrucieństwem. Starałam się wmówić sobie, że mąż mój naprawdę mnie kochał, choć były to co prawda tylko dorywcze napady egoistycznej miłości, i czułam, że nie byłby poświęcił najmniejszego swego kaprysu dla zastosowania się do mojego życzenia. Znałam już dobrze niezłomność woli tych wąskich delikatnych ust i

złowrogi blask stalowych oczu. Wystarczało, ażebym kogo polubiła, ażeby on go znienawidził. Tak dumając i biadając nad swoim losem, w ów ponury wieczór październikowy, starałam się zwrócić myśli na ten nowy węzeł, który miał być łącznikiem pomiędzy mną i mężem, wyrzucałam sobie moją niewdzięczność, przy czym łzy puściły mi się z oczu. Amanda starała się rozerwać mnie opowiadaniem o Paryżu, o strojach i różnych drobnostkach, a choć jej słowa tchnęły pustotą, widziałam, jak poważnie, przenikliwie i troskliwie we mnie się wpatrywała. Wreszcie dorzuciła drew na kominek i zapuściła jedwabne kotary na odsłonięte dotąd okna, którymi zaglądał księżyc, przypominając mi dom rodzinny i zwiększając tęsknotę.

Amanda obchodziła się ze mną jak niańka z dzieckiem.

— No, teraz niech się pani zabawi z kotkiem — rzekła — a ja pójdę powiedzieć, by podano kawę.

Rozgniewałam się, iż uważała mnie za rozgrymaszone dziecko, które kociak pocieszy. Nie zwierzając się ze wszystkiego, opowiedziałam część moich trosk wcale neurojonych; poznałam z jej miny, że poczciwa dusza więcej wiedziała niż to, co jej mówiłam, i że tylko z życzliwości dla mnie wspomniała o kocie.

Zwierzyłam jej się, że już tak dawno nie miałam wiadomości od ojca, który był stary i może go już nie zobaczę, że nigdy nie przypuszczałam idąc za mąż, iż tak zupełnie z nim się rozłączę; opowiadałam też o moim rodzinnym domu i o mojej młodości i to mi ulgę przyniosło.

Amanda słuchała ze współczuciem, zwierzyła się też z niektórych wypadków i zmartwień swojej przeszłości, po czym poszła po kawę, którą dawno powinni byli mi przynieść, ale w nieobecności męża, służba mało się o mnie troszczyła.

Niebawem wróciła, niosąc kawę z ciastem.

— Niechże pani je, trzeba się odżywiać. Ci, co dużo jedzą, są może w dobrym humorze. Przy tym mam dobrą nowinę dla pani: oto zobaczyłam w kuchni na stole duży pakiet listów, które świeżo nadeszły ze Strassburga, a wiedząc jak pani zależy na wiadomości z domu, rozwiązałam sznurek, patrząc, czy nie ma jakiego listu z Niemiec. Akurat znalazłam jeden, kiedy wpadł lokaj, wytrącił mi go z ręki i nawymyślał za to, że ważyłam się odwiązać listy. Powiedziałam mu, że szukałam listu do pani i że zdaje mi się, iż jeden nadszedł. Na to zaczął kląć, mówiąc, że to do mnie nie należy, że ma stanowczy rozkaz, ażeby w nieobecności pana wszystkie listy zanosić do jego gabinetu.

Nigdy dotąd w nim nie byłam, choć znajdował się obok garderoby mojego męża.

Zapytałam Amandę, czy mi ten list przyniosła.

— Nie — odrzekła — mogłabym życie utracić, opierając się takiemu chamowi jak ci, którzy nas otaczają. Wszak nie ma jeszcze miesiąca, jak Jakub zasztyletował Walentego za jakąś drobnostkę. Pamięta pani tego ładnego chłopca, Walentego, co przynosił drzewo do sali. Leży już biedak w grobie, a choć rozpuszczono we wsi wiadomość, że popełnił samobójstwo, mieszkańcy zamku wiedzą dobrze, jak to było. Niech się pani nie lęka, Jakuba już nie ma, niewiadomo, gdzie poszedł; ale z takimi ludźmi nie można się sprzeczać. Jutro wróci pan, nie będzie więc pani długo czekała na list.

Lecz ja nie mogłam wytrzymać do jutra. Tam był list! Może ojciec był chory? Może umierał i pragnął widzieć córkę przed śmiercią! Tym podobne myśli nie dawały mi spokoju. Na próżno Amanda uspokajała mnie; mówiła, że może się omyliła, gdyż niedobrze czytała niedrukowane pismo, a tylko rzuciła okiem na adres. Nic nie pomagało, nie chciałam ruszyć podwieczorku, załamywałam ręce i wołałam z płaczem o list z domu. Amanda starała się trafić mi do rozsądku z wielką cierpliwością, to znów poczęła mnie łajać, w końcu zmęczona moim uporem, przyrzekła, że jeśli się

uspokoję i zjem kolację, to jak służba pójdzie spać, spróbujemy dostać się do gabinetu męża.

Postanowiłyśmy tedy czekać, aż się wszystko w domu uciszy i wtedy pójść razem na poszukiwanie listu.

Wszak w tym nie było nic zdrożnego, a jednak obawiałyśmy się uczynić to otwarcie.

Przyniesiono kolację. Składała się z kuropatw, chleba, owoców i kremu. Pamiętam, że kawę wylałyśmy przez okno, a ciasto schowałyśmy, ażeby służba nie gderała, że przysyłam po podwieczorek, a do ust go nie biorę. Tak mi szło o to, żeby prędko wszyscy spać poszli, że powiedziałam lokajowi, że może nie sprzątać po kolacji i iść sobie do łóżka. Nareszcie gdy się wszystko uciszyło, przezorna Amanda kazała mi jeszcze jakiś czas poczekać. Po jedenastej wyszłyśmy na palcach z salonu.

Zamek, niegdyś forteca, zawieszony był na szczycie skały, sterczącej na zboczu góry, i musiał wówczas przypominać sławne nadreńskie zamki. Później jednak dodano przybudówkę, z której widok był wspaniały na rozciągającą się w dali wielką równinę Francji. Nowy ten budynek, położony na najbardziej urwistej stronie skały, spod której góra w bok się usuwała, miał kształt wydłużonego trójkąta. Moje pokoje zajmowały najwęższą jego stronę. Front starego zamku dochodził aż do drogi, ciągnącej się znacznie

nizej; tam były kancelaria, pokoje służbowe, a noga moja nigdy tam nie powstała. Tylne skrzydło, uważając moje mieszkanie za centrum, obejmowało szereg ciemnych, ponurych pokoi, góra bowiem i gęste sosnowe lasy, jakimi była obrośnięta, nie dopuszczały słonecznego światła; lasy te oddalone były tylko o kilka łokci od okien. Jednak właśnie tam na małej płaszczyźnie, położonej na występie skały, mój mąż urządził dla mnie ogródek. Mój sypialny pokój był w samym rogu trójkąta, mogłam z niego bez niebezpieczeństwa wyjść przez okno do ogródka, podczas gdy okna innych pokoi były o jakieś sto łokci nad gruntem. Idąc dalej prawą stroną, dochodziło się do starego zamku, w którym pokoje mego męża się znajdowały. Sypialnia sąsiadowała z moją, garderoba położona była za nią i to było wszystko, o czym wiedziałam; gdyż ile razy miałam ochotę zapuścić się dalej (co w pierwszych czasach po ślubie mi się zdarzało), ażeby zwiedzić zamek, którego niby byłam panią, tyle razy albo pan de Tourelle albo kto ze służby pod tym lub owym pozorem zawracał mnie z drogi. Mąż mój nie pozwalał mi również ani wyjeżdżać, ani wychodzić samej na spacer ze względu, że drogi były niepewne w owych niespokojnych czasach. Przychodziło mi nawet do głowy, iż ten mały ogródek, jedyne miejsce gdzie mogłam użyć trochę ruchu i

odetchnąć świeżym powietrzem, umyślnie był na tym nieodpowiednim gruncie urządzony, żeby każdy mój ruch mógł być kontrolowany z okien pana de Tourelle, gdyż tylko z jego pokoju można było wchodzić do ogródka.

Wiadomym mi jednak było, że za garderobą znajdował się prywatny gabinet mojego męża; z mojego zatem narożnego sypialnego pokoju trzeba było przejść przez sypialnię i garderobę pana de Tourelle, ażeby dojść do tego gabinetu. Z tych jednak wszystkich pokoi inne drzwi prowadziły do długiego korytarza, z którego okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Nie zastanawiając się nad tym, udałyśmy się tam przez pokoje, ale zastałyśmy drzwi prowadzące z garderoby do gabinetu zamknięte. Nie pozostawało nam tedy jak zawrócić się i przejść przez korytarz.

Przechodząc przez garderobę męża, w której byłam po raz pierwszy, poczułam delikatny zapach pachnideł i porozstawiane wytworne przybory toaletowe, wykwintniejsze nawet od tych, jakimi mnie obdarzył. Sam pokój mniejszy był od mojego i na nim kończyła się przybudówka; dalsze pokoje znajdowały się w starym zamku. Okna i drzwi z głębokimi wnękami z powodu nadzwyczajnej grubości murów były jeszcze osłonięte ciężkimi firankami i portierami tak, że

najmniejszy szmer nie mógł dochodzić z jednego pokoju do drugiego.

Wchodząc do korytarza, przysłoniłyśmy prawie zupełnie świecę, z obawy żeby ktoś z czuwającej jeszcze może służby nie dojrzał światła w części zamku, do której tylko wchodził pan domu. Obawa moja była tym uzasadniona, iż miałam przekonanie, że cała służba prócz jednej Amandy stale szpiegowała każde moje poruszenie. Paliło się światło na piętrze. Amanda spostrzegłszy to, chciała, żebyśmy się cofnęły, ale ja, taka zwykle bojaźliwa, tym razem nie uległam. Chęć otrzymania wiadomości o ojcu tak mnie opanowała, że nie dałam się powstrzymać; tym bardziej, że nie widziałam w tym nic złego, że wchodzę do pokoju własnego męża po list mojego ojca. Miałam też za złe Amandzie jej — jak nazwałam — tchórzostwo, a ona biedactwo miała poważne powody do obawy, gdyż zmiarkowała, w jakim potwornym znajdujemy się środowisku, o czym ja nie miałam pojęcia. Poszłyśmy tedy naprzód, drzwi od gabinetu były zamknięte, lecz klucz tkwił w zamku. Przekręciłam go i weszłyśmy do pokoju; białe koperty listów rozłożonych na stole uderzyły moje oczy. Biegłam skwapliwie, ażeby pomiędzy nimi odszukać ukochane pismo, gdy wtem jakiś przeciąg zagasił świecę i znalazłyśmy się w ciemności. Amanda radziła, żeby zebrać listy po

omacku, wrócić z nimi do mego salonu i, zatrzymawszy list do mnie zaadresowany, odnieść resztę na miejsce; ja jednak prosiłam, aby poszła do mnie, zapaliła tam świecę i z nią wróciła. Zostałam tedy sama w ciemnym pokoju. Z tego co zauważyłam, zanim świeca zgasła, i z tego co rozeznała, gdy moje oczy powoli przywykły do ciemności, spostrzegłam tylko duży stół z przyborami do pisania, przykryty ciężką serwetą spadającą aż do ziemi, stojący przy ścianie po środku, oparta o niego, ręką dotykając listów, stałam z twarzą obróconą do okna, przez które przebijał się zaledwie słaby blask księżyca. Upłynęło nie więcej nad parę minut od odejścia Amandy, kiedy jakiś cień ukazał się, zasłaniając ów blask, i usłyszałam wyraźnie cichy lecz wyraźny szelest uczyniony przez kogoś, usiłującego otworzyć okno.

W śmiertelnym strachu, gdyż tylko złoczyńcy mogli się o tej porze i w taki sposób dostawać do domu, chciałam uciekać, lecz wstrzymała mnie obawa, że moje kroki i hałas otwieranych drzwi nie ujdą uwagi przybyszów. Przyszło mi też do głowy ukryć się za kotarą we wnęce, dzielącej drzwi gabinetu od garderoby, czułam jednak, że zemdleję, zanim tam dojdę. Przykucnęłam więc na podłodze i wsunęłam się pod stół, w nadziei że serweta ukryje mnie przed bandytami. Nie byłam w stanie opanować wzburzonych

zmysłów; w obawie, aby nie zemdleć, lub nie krzyknąć, wpiłam zęby w rękę tak, że pozostał mi na całe życie znak, który zwracał twoją uwagę, moja córko. Silny ból dopomógł do opanowania trwogi. Zaledwie się schowałam, otwarto okno i trzech mężczyzn wskoczyło do pokoju. Stanęli tak blisko mnie, że ich buty prawie mnie dotykały; śmieli się i szeptali między sobą. Byłam zbyt oszołomiona, żeby zrozumieć ich słowa, ale rozpoznałam śmiech mojego męża, syczący i drwiący, podczas gdy kopnął nogą jakiś ciężki przedmiot, który dwaj jego towarzysze położyli koło stołu, tak blisko mnie, że jego kopnięcie mnie dosięgło. Ulegając dziwnemu uczuciu ciekawości, wyciągnęłam nieco dłoń by się przekonać, co koło mnie leży, i o zgrozo! Natrafiłam na zaciśniętą zimną rękę trupa!

Dziwna rzecz, że to właśnie przywróciło mi przytomność umysłu. Zaczęłam rozmyślać, w jaki sposób przestrzec Amandę: niestety, nic zrobić nie mogłam; łudziłam się nadzieją, że może usłyszy głosy tych, którzy, miotając straszne przekleństwa, próbowali rozkrzesać światło. Wtedy usłyszałam jej kroki na zewnątrz, coraz bardziej się zbliżały. Z mojej kryjówki dojrzałam światło, przeciskające się przez szczelinę drzwi, przy których stanęła. Oni także usłyszeli, bo umilkli, i sądzę, że również jak ja oddech wstrzymali. Wreszcie otworzyła drzwi ostrożnie, ażeby nie zgasić

świecy i... nastąpiła chwila milczenia. Po czym usłyszałam skrzypienie butów od polowania mojego męża, który zbliżywszy się do niej tak, żeby swoją osobą zakryć ciało rozciągniętego człowieka, rzekł:

— Czy mogę zapytać, Amando, co cię sprowadza do mojego gabinetu?

Widok nieboszczyka, leżącego tuż przy mnie, zmroził mi krew w żyłach. Czy Amanda go spostrzegła, tego nie wiem i nie mogłam dać jej żadnego znaku. Odpowiedziała głosem cichym, mocno zmienionym lecz dosyć pewnym, że przyszła po list, który, o ile jej się zdaje, nadszedł z Niemiec do pani.

Pocziwa Amanda! Ani jednym słowem nie zdradziła mojej obecności. Pan de Tourelle zaklął i zagroził jej. Nie pozwalał — rzekł — nikomu wtrącać się do swoich interesów; gdyby list przyszedł, jego to rzecz oddać go pani lub nie oddać; Amanda zaś ma pamiętać, iż jest to pierwsze ostrzeżenie, ale i ostatnie. Mówiąc to odebrał jej z rąk świecę i wypchnął ją za drzwi.

Przez ten czas jego towarzysze starali się zasłaniać sobą leżącego trupa. Usłyszałam, jak za nią drzwi na klucz zamykano, wszelka nadzieja ucieczki była stracona, wzdychałam tylko, żeby to, co się stać miało, nastąpiło jak najprędzej, gdyż czułam, iż moje nerwy dłużej nie wytrzymają. Jak tylko zmiarkowali, że

oddaliła się o tyle, iż już nie może ich słyszeć, obydwaj mężczyźni napadli na mego męża z najostrzejszymi wymówkami, że jej nie zatrzymał, nie uwięził, a nawet nie zabił, utrzymując, że widzieli jak jej oczy zatrzymały się na trupie, którego znów obecnie pan de Tourelle kopał w napadzie złości. Mimo że mówili do niego jak do sobie równego, zauważyłam w ich głosie rodzaj obawy; zapewne był ich dowódcą. Odpowiedział drwiąco, że ciężko dać sobie radę, gdy się ma do czynienia z głupcami, że założyłby się, iż Amanda mówiła prawdę, a była wystraszoną z powodu obecności swego pana, którego nie spodziewała się zastać, że na pewno rada, że skończyło się na wyrzuceniu za drzwi, pobiegła do swojej pani, której on łatwo wytłumaczy, dlaczego tak nagle wrócił w nocy. Lecz jego towarzysze zaczęli mnie przeklinać, utrzymując, że pan de Tourelle, odkąd się ożenił, był do niczego, że tylko się stroi, perfumuje i mizdrzy, że oni byliby mogli mu wynaleźć dwadzieścia ładniejszych i rozumniejszych ode mnie dziewcząt. Odpowiedział im, że mu się podobam i że to wystarcza. Podczas tej rozmowy coś robili z nieboszczykiem, czego dojrzeć nie mogłam, a byli tym tak zajęci, że chwilami przerywali rozmowę. Wreszcie rzucili go znów na podłogę i poczęli się kłócić; drażnili mego męża w najwyższy

sposób, doprowadzeni do wściekłości jego drwinami, kpinami i szyderskim śmiechem.

Tak jest: podnosząc głowę swojej nieszczęsnej ofiary, którą zamierzał obedrzeć z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, on nie wahał się śmiać i dowcipkować, jak ongi w Karlsruhe w salonie pani Ruprecht. Trwogę wzbudzał we mnie i nienawiść. Nareszcie, zniecierpliwiony widać ich docinkami, wyrzekł zimnym i stanowczym głosem:

— No i po co tyle próżnej gadaniny, kiedy wiecie doskonale o tym, że z chwilą, w której bym przypuścił, że moja żona czegokolwiek domyśla się, przestałaby istnieć. Przypomnijcie sobie Wiktorynę. Za to, że nie słuchając mojej rady trzymania języka za zębami, pozwoliła sobie na niewczesne żarty z moich spraw, wyprawilem ją w drogę... dalszą niż do Paryża.

— Tak, ale ta jest wcale niepodobna do niej. Wiedzieliśmy wszyscy, że Pani Wiktoryna nie potrafi nic zachować w sekrecie i jeśli się czego domyśli, to nam to sama wypaple. Ta jednak jest tak chytra, że może czegoś dociec i nie zdradzić się ani słowem, i pewnego poranku mogą nas osaczyć żandarmi ze Strassburga, a to wszystko dzięki tej ślicznej lalce, która cię usidliła.

Zdaje się, że to rozjątrzyło pana de Tourelle do najwyższego stopnia. Zakławszy rzekł ze złością:

— Wiesz, Henryku, że mój sztylet jest ostry; jeśli żona moja piśnie słowo, a ja nie potrafię zamknąć jej ust skutecznie, nim naprowadzi na nas żandarmów, tedy sztylet ten utopię w swoim sercu. Niech zgadnie, niech przypuści choć przez chwilę, że mogę nie być bogatym dziedzicem... że jestem hersztem Chauffeurów (tj. przypalaczy), a w tejże minucie nie zawaham się wysłać ją za Wiktoryną.

— Ona cię wyprowadzi w pole, takie ciche wody diabła warte! Któregokolwiek dnia podczas naszej nieobecności ucieknie, doszedłszy naszej tajemnicy, i pęknie bomba!

— Ha — odrzekł — niech spróbuje; ja ją wszędzie odnajdę, więc nie trzeba bez powodu wszczynać hałasu.

Przez ten czas obdarli zwłoki ze wszystkiego i zaczęli się naradzać, co z nimi zrobią. Z tej rozmowy dowiedziałam się, że zamordowanym był pan de Poissy, szlachcic z sąsiedztwa, który często polował z moim mężem, choć ja go osobiście nie znałam. Nadjechał właśnie w chwili, kiedy napadłszy kupców jadących z Kolonii, zwyczajem Chauffeurów, torturowali ich przypiekając nogi, ażeby wydali, gdzie były umieszczone ich kapitały, z czego później rozbójnicy ciągnęli korzyści. Kiedy pan de Poissy poznał de Tourelle'a wśród bandytów, zabito go i odstawiono w nocy do zamku. Słyszałam, jak pan de Tourelle

dowcipkował wyśmiewając się, w jaki troskliwy sposób wieźli ciało, ażeby się wydawało tym, co ich spotykali, że odwożą drogiego sobie chorego. Cytował przy tym swoje sprytnie odpowiedzi na zapytania przechodzących ludzi; i to wobec leżącej z rozłożonymi rękami ofiary mordu!

Wtem jeden z nich schylił się. Serce we mnie zamarło! Lecz on podniósł tylko list, który się był wysunął z kieszeni pana de Poissy. Był to list od jego żony pełen pieśczoć i miłości. List ten odczytano głośno, przedrwiwając i wyśmiewając każde wyrażenie. Kiedy doszli do ustępu dotyczącego małego Maurycego, synka nieboszczyka, który z matką bawił u krewnych, zaczęli przepowiadać panu de Tourelle, iż niedługo i on będzie odbierał listy pełne takich banialuk. Jego cyniczna, oburzająca odpowiedź sprawiła, że nienawiść, jaką czułam dla niego, przewyższyła moją trwogę. Kiedy już byli syci brutalnej wesołości i wstrętnych żartów, zaczęli oceniać zegarek i klejnoty, rachować pieniądze, przeglądać papiery, po czym postanowiono, że zwłoki muszą być pochowane przed nadejściem brzasku. Nie zostawili nieboszczyka na miejscu zbrodni z obawy, żeby go kto nie poznał i żeby śledztwo na ich trop nie naprowadziło. Zmiarkowałam z ich rozmowy, iż bardzo im chodziło o to, żeby w bliskości Les Rochers było zupełnie

spokojnie, ażeby nie ściągnąć uwagi żandarmów. Naradzali się, czy zająć się pogrzebaniem zaraz, czy też wpierw udać się przez korytarz do spizarni zamkowej, żeby głód zaspokoić. Wyteńczyłam słuch i umysł z całej siły, gdyż chwilami wyrazy obijały się o moje uszy tak, że niedobrze rozumiałam ich znaczenie, chwilami musiałam się gwałtownie wstrzymywać, ażeby ich głośno nie powtarzać. Sądzę, że tylko instynkt samozachowawczy utrzymywał mnie w spokoju i przywoływał do przytomności. Wtedy więc zrozumiałam, że otwiera się dla mnie jedyna szansa ratunku, obawiałam się tylko, żeby mój mąż nie poszedł przedtem do swojej sypialni i zajrzawszy przez drzwi nie spostrzegł mojej nieobecności. Odezwał się nawet, że musi iść umyć ręce (zapewne krwią splamione), ale drwiący śmiech towarzyszy powściągnął go od tego i wyszli wszyscy razem do korytarza zostawiając mnie samą w ciemności z nieboszczykiem.

— Albo teraz, albo nigdy! — pomyślałam sobie; a jednak nie mogłam się ruszyć. I nie tyle zdrętwienie moich skurczonych członków, ile świadomość bliskości tego ciała, obezwładniała mnie w zupełności. Zdawało mi się, a dotąd nie jestem pewna, czy mi się tylko zdawało, że ręka tego biedaka poruszyła się, podniosła, jak gdyby błagając o litość, a następnie opadła w niemej rozpacz. Wtedy nie mogłam się powstrzymać od

przeraźliwego okrzyku, i mój własny głos, mocno zmieniony, przywrócił mi władzę. Odsunęłam się, o ile możliwości, jak najdalej od ciała, w obawie żeby mnie ta biedna martwa dłoń nie uchwyciła, wypełzłam z pod stołu i podniosłam się, opierając o niego, nie wiedząc, co dalej począć. Omdlewałam prawie, kiedy usłyszałam spoza drzwi cichy głos Amandy szepczący:– Proszę pani.

Wierna ta istota czuwała, ujrawszy tych trzech łotrów, jak z korytarza przeszedłszy przez dziedziniec, udali się do drugiego skrzydła zamku, i usłyszawszy mój okrzyk, przysła na palcach pod drzwi gabinetu. Jej głos dodał mi siły, poszłam jak zahipnotyzowana, kierując się dźwiękiem posłyszanego głosu oraz słabym odblaskiem światła, wciskającego się przez szczelinę. Z nadludzkim wysiłkiem, wiedząc, że o życie chodzi, otworzyłam drzwi i padłam w jej objęcia, ściskając ją z całej siły, wpijając prawie palce w jej ciało. Nie syknęła nawet, lecz wzięwszy mnie w ramiona, zaniosiła do mojego pokoju i położyła na łóżku. Więcej nie pamiętam, gdyż wtedy straciłam przytomność. Pierwszym uczuciem, kiedy ją odzyskałam, była szalona trwoga, że mój mąż jest w pokoju, że się ukrył, czekając na pierwsze moje słowo, na najmniejszą oznakę, którą bym zdradziła, że o czymś wiem, ażeby utopić sztylet w mym sercu. Nie śmiałam się ruszyć, ani oczu otworzyć, ani nawet oddychać swobodnie.

Słyszałam, że ktoś po cichu chodzi tu i tam po pokoju, lecz nie dawałam znaku życia, w przekonaniu, iż śmierć mnie czeka. Znow zaczęło mi się robić słabo, kiedy usłyszałam głos Amandy tuż koło siebie.

— Niech pani to wypije — rzekła — i uciekajmy. Wszystko już gotowe.

Uniosła mi głowę i wlała jakiś płyn w usta; czyniąc to, nie przestawała mówić jakimś dziwnie miarowym, spokojnym, nie swoim, nakazującym głosem.

Powiedziała mi, że przygotowała dla mnie swoje ubranie, sama zaś przebrała się, o ile okoliczności na to pozwalały; że wszystko, co zostało z kolacji, zawinęła i zabrała; wchodziła w najdrobniejsze szczegóły, lecz ani słowem nie napomknęła o strasznych powodach ponaglających nas do ucieczki. Nie pytałam jej o nie, ani wtedy ani później, i nigdy potem nie poruszyliśmy między sobą tego przeraźliwego tematu. Potworną tajemnicę ukryliśmy w głębi duszy; sądzę jednak, że Amanda musiała być w garderobie i słyszeć, co się mówiło w gabinecie.

Nie śmiałam nawet wspomnieć jej o niczym i przyjmowałam, jako rzecz naturalną przygotowania do ucieczki z tego domu krwi i mordy. Ona dawała mi zlecenia jak dziecku, a ja wykonywałam je, nie wnikając wcale w ich przyczynę. Chodziła do okien i do drzwi, przysłuchując się niespokojnie. Co do mnie, nie

spuszczając jej z oka, nie słyszałam nic w tej północnej ciszy, prócz jej ostrożnych poruszeń i bicia mojego serca. Wreszcie wzięła mnie za rękę i zaprowadziła po ciemku przez salon do owego pełnego grozy korytarza, gdzie blade światło księżyca, wpadając przez głębokie framugi okien, tworzyło na podłodze plamy świetlane podobne do duchów. Szłam za nią, trzymając się jej jak ostatniej deski ratunku, nie pytając wcale, dokąd mnie prowadzi. Przeszliśmy obok moich bawialnych pokoi, skręcając na prawo ku tej nieznannej mi części zamku, znajdującej się na poziomie drogi. Prowadziła mnie teraz wzdłuż dolnych korytarzy, do których zeszliśmy po schodach, aż do małych otwartych drzwi, przez które wionął na nas chłodny powiew, co mnie trochę ożywiło. Drzwi te prowadziły do małej piwniczki. Był tam otwór, coś w rodzaju okna, lecz pozbawiony szyb, natomiast zakratowany żelaznymi sztabami, z których dwie były ruchome, o czym widocznie Amanda wiedziała, gdyż odsunęła je z łatwością, pomagając mi wydostać się na zewnątrz.

Przesuwałyśmy się wzdłuż budynku. Wtem, gdyśmy miały skręcić na samym rogu, ścisnęła mnie ostrzegawczo za rękę; jakoż po chwili doszedł moich uszu odgłos kilku głosów i uderzenia łopaty o twardniała ziemię.

Nie zamieniłyśmy słowa, skreśliła na palcach ku drodze, szłam za nią po nieznannej ścieżce, potykając się w ciemności co chwila o kamienie. Byłam wyczerpana, równie jak i ona zapewne, lecz fizyczne cierpienie budziło mnie z odrętwienia. Nareszcie doszliśmy do szosy.

Takie pokładałam w niej zaufanie, że nawet nie zapytałam, dokąd się udajemy. Dopiero teraz, po raz pierwszy ona przemówiła.

— Od której strony tu panią przywiózł?

Wskazałam, bo nie mogłam wyrzec słowa.

Zwróciłyśmy się w przeciwną stronę, trzymając się wciąż drogi. Po jakiejś godzinie skreśliłyśmy w stronę góry i wdrapywałyśmy się na nią, nie dając sobie chwili wypoczynku, ażeby przed brzaskiem dnia ująć jak najdalej. Nareszcie zaczęłyśmy szukać jakiejś kryjówki, w której mogłybyśmy trochę odpocząć.

Dopiero teraz odważyłyśmy się zamienić szeptem myśli. Amanda powiedziała mi, że zamknęła na klucz drzwi pomiędzy moim a jego pokojem, a także pomiędzy tym ostatnim i salonem i klucze ze sobą zabrała.

— Za dużo ma na głowie dzisiejszej nocy — mówiła — żeby się panią zajmować, przypuszcza zapewne, żeś we śnie pogrążona. Zauważą najpierw

moją nieobecność, ale sądzę, że w tej chwili wiedzą już o naszej ucieczce.

Przypominam sobie, że na te słowa zaczęłam ją prosić, byśmy uciekały dalej, nie tracąc drogocennego czasu; ona jednak wcale nie zwracała uwagi na moje nalegania, tak była zajęta wyszukiwaniem kryjówki. Nie mogąc nic wynaleźć, zrozpaczone poszłyśmy dalej przed siebie. Góra osuwała się na dół i w biały dzień znalazłyśmy się w wąskiej dolinie. Rączy potok płynął z boku, o jakąś milę dalej widać było wznoszące się dymy z kominów położonej tam wioski; młyn wodny obracał w pobliżu swoje koło. Starając się ukrywać pod krzakami i drzewami, przeszłyśmy od młyna ku sklepienemu mostowi, który łączył zapewne wioskę z młynem.

— Tu będzie dobrze — rzekła i zeszłyśmy w zagłębienie, a wdrapawszy się na wystające kamienie, usiadłyśmy na nich schowane całkiem pod ochroną mostu. Amanda, usiadłszy nieco wyżej ode mnie, położyła moją głowę na swoich kolanach, potem nakarmiła mnie i sama się posiliła. Rozłożyła też swój obszerny szary płaszcz, przykrywając nas obie tak, żeby żadna jaśniejsza plama nie zdradziła naszej obecności. Siedziałyśmy w na wpół leżącej pozie, drżąc od zimna, rade, że przynajmniej możemy trochę wypocząć; czując przy tym, że najbezpieczniej dla nas siedzieć tak bez

ruchu. Do naszej kryjówki pod sklepieniem mostu nie dochodził nigdy promyk słońca, dlatego panował tam taki chłód i wilgoć, iż obawiałam się rozchorować, zanim będziemy mogły stamtąd się ruszyć. W dodatku padał deszcz, toteż potok zasilany strumykami, sączącymi się z góry, wzbierał i zalewał kamienie.

Z chorobliwej drzemki, w którą wciąż zapadałam, budził mnie od czasu do czasu tętent koni, to ciągnących ciężary, to galopujących, przy czym wołania ludzkie zagłuszały szum wody. Nareszcie ściemniło się. Musiałyśmy brnąć przez potok, którego wody dochodziły nam prawie do kolan. Nawet Amanda zaczynała tracić odwagę.

— Musimy na noc znaleźć jakieś schronienie — rzekła, deszcz bowiem padał bez litości.

Nic jej na to nie odpowiedziałam, zdawało mi się, że jesteśmy skazane na śmierć, szło mi tylko o to, żeby jej nie towarzyszyło przerażające okrucieństwo ludzkie. Po chwili namysłu zaprowadziła mnie do młyna. Tak dobrze znane terkotanie koła, zapach i widok mąki pokrywającej naokoło wszystko, tak mi żywo przypomniały dawne czasy, że mi się przez chwilę wydawało, iż budzę się ze snu przykrego i że jestem w domu nad Neckarem.

Amanda zastukała do drzwi. Długo nam nic otwierano, nareszcie stary, słaby głos zapytał, kto stuka

i czego żąda. Amanda odpowiedziała, że prosi o schronienie przed ulewą dla dwóch kobiet. Staruszka odrzekła podejrzliwym głosem, że nie jest pewna, czy nie ma mężczyzny na zewnątrz, i że nas nie wpuści. Po jakimś czasie jednak upewniwszy się, że są tylko dwie kobiety, otworzyła ciężkie drzwi z trudem i wpuściła nas do izby. Nie była to zła kobieta, tylko obawiała się swego pana, młynarza, który jej zakazał, żeby podczas jego nieobecności wpuszczała jakiegokolwiek mężczyznę, nie była pewną, czy się również nie będzie gniewał o wpuszczenie dwu kobiet, ale przecież trudno było nawet psa wypędzić na taką pogodę. Amanda z właściwym sobie sprytem poradziła jej, żeby nikomu o naszym przybyciu nie mówiła, to tym sposobem uniknie gniewu pana. Rzecz prosta, że nie o młynarza jej chodziło. Podczas rozmowy nie traciła czasu, lecz zdjęła szybko ze mnie przemoknięte ubranie i rozwiesiła je wraz z płaszczem, którym byliśmy okryte, przy kominie, mocno ogrzewającym cały pokój, bo staruszka lubiła ciepło. Biedna ta istota ciągle do siebie mówiła, zastanawiając się nad tym, czy nie przekroczyła rozkazów swego pana. Ta jej gadatliwość budziła we mnie obawę, że nie potrafi naszego przybycia utrzymać w tajemnicy. Opowiedziała też nam, że młynarz poszedł dopomóc w poszukiwaniu dziedzica, pana de Poissy, którego zamek znajdował się tuż na górze, a który w

wigilię dnia nie wrócił z polowania. Zarządzający tedy majątkiem, w obawie czy pana nie spotkał jakiś wypadek, prosił sąsiadów o przepatrywanie lasu i okolicy. Zwierzyła nam się także, że wolałaby znaleźć miejsce gospodyni w domu, gdzie by było więcej osób i służby, gdyż samotność i nadmiar pracy mocno dają jej się we znaki. Tak ciągle mówiąc to do nas, to do siebie, zasiadła do kolacji, wydzielonej widocznie tak skąpą ręką, że gdyby nawet była chciała, nie byłaby mogła nas poczęstować. Na szczęście myśmy tylko potrzebowały ogrzać przy kominie nasze zgrabiące członki.

Po kolacji spać się babinie zachciało, a obawiała się zostawić nas same, dawała nam też do zrozumienia, że mogłybyśmy już sobie odejść. Deszcz i wicher srożył się jeszcze na dworze, toteż prosiłyśmy, żeby nam pozwoliła zostać gdziekolwiek, byle pod dachem. Wreszcie przyszła jej świetna myśl do głowy, kazała nam wejść po drabinie na strych, który się znajdował nad połową owej kuchni, w której siedziałyśmy. Nie było rady, trzeba było usłuchać, i znalazłyśmy się na rodzaju górki lub poddasza bez żadnej poręczy, która by chroniła od upadku na dół do kuchni. Był to strych dla służby. Była tam złożona pościel, paki, skrzynie, worki, zapasy jabłek i orzechów na zimę, paki ze starem ubraniem, połamane sprzęty i dużo innych rzeczy. Zaledwie weszłyśmy, kobieta chichocząc ściągnęła

drabinę i, całkiem już bezpiecznie, usnęła, siedząc w oczekiwaniu swego pana. Rozłożyłyśmy tedy pościel i położyłyśmy się w wysuszonych ubraniach, w nadziei że się dobrze wyśpimy i nabierzemy sił na trudy dnia następnego. Cóż, kiedy nie mogłam zasnąć, a miarkowałam z oddechu, że i Amanda czuwała. Przez szpary podłogi mogłyśmy widzieć, co się działo w kuchni, skąpo oświetlonej małą lampką, wiszącą na ścianie po przeciwnej stronie przy kominie.

Po pewnym czasie dały się słyszeć głosy na zewnątrz i ktoś gwałtownie zastukał do drzwi. Starowina zerwała się i pośpieszyła otworzyć swemu panu, który wrócił widocznie na wpół pijany. Ku mojemu przerażeniu towarzyszył mu Lefebvre, równie trzeźwy i chytry jak zazwyczaj. Weszli rozmawiając i naradzając się nad czymś, ale młynarz przerwał rozmowę, ażeby nawymyślać biednej babinie za to, że pozwoliła sobie zasnąć. Następnie ze złością, a nawet uderzając ją pięściami, wypchnął starowinę za drzwi, każąc jej iść do łóżka. Potem zasiedli i zaczęli rozmawiać o tajemniczym zniknięciu pana de Poissy. Ze słów Lefebvra wniosłam, że cały dzień spędził na poszukiwaniu, a raczej na myleniu tropu poszukującym, a także na wietrzeniu, czy nas gdzie nie odnajdzie.

Aczkolwiek młynarz dzierżawił młyn od pana de Poissy i był jego podwładnym, nietrudno było poznać, że sprzyjał raczej panu de Tourelle i jego otoczeniu. Domyślał się, o ile mi się zdawało, sposobu ich życia, nie wiedział jednak o ich zbrodniach. Pragnął dowiedzieć się, co się stało z dziedzicem, nie podejrzewając bynajmniej Lefebvre'a o popełnione morderstwo. Mówił ciągle, podsuwając różne domysły, podczas gdy Lefebvre nie spuszczał z niego czujnego oka. Widocznie nie miał zamiaru wyznać, iż żona jego pana uciekła z jaskini rozbójników, nie wątpiłam jednak, że krwi naszej pragnie i wypatruje, czy gdzieś nie odnajdzie naszych śladów.

Wreszcie podniósł się i wyszedł, a młynarz, wypuściwszy go, poszedł sam do łóżka. Wtedy i my zasnęliśmy i spałyśmy dobrze i długo.

Obudziwszy się nazajutrz, ujrzałam, jak Amanda wsparta na rękę wpatrywała się uporczywie przez szczelinę, co się dzieje w kuchni. Spojrzałam w tym kierunku i zobaczyłam młynarza i dwóch jego pomocników rozprawiających z żywością. Nadstawwszy ucha, dosłyszałam, że młynarz zdziwiony tym, że staruszka nie napaliła w piecu i nie podała mu śniadania, poszedł do jej komory i zastał ją nieżywą, czy to ze starości czy też z powodu zadanych razów. Sumienie musiało trochę gryźć młynarza, bo

głośno się zaklinał, że wysoko cenił gospodynię oraz że ona często powtarzała, jak bardzo czuje się szczęśliwą w jego służbie. Terminatorzy może niekoniecznie temu wierzyli, żaden z nich jednak nie odważył się zaprzeczyć; wszyscy zdecydowali, że trzeba jak najprędzej ją pochować.

Wyszli tedy, zostawiając nas zupełnie same na naszym strychu. Po raz pierwszy ośmieliłyśmy się w tym domu zamienić ze sobą myśli, nadśluchując wszelako, czy kto nie nadchodzi. Amanda mniej ponuro niż ja zapatrywała się na to wszystko. Mówiła, że gdyby staruszka żyła, byłybyśmy musiały natychmiast uciekać, bo na pewno powiedziała by o nas młynarzowi, ten zaś wcześniej czy później byłby doniósł tym, przed którymi się ukrywałyśmy. Teraz zaś mogłyśmy spokojnie odpoczywać w naszej kryjówce, dopóki pierwsze poszukiwania były w toku. Reszta zabranego pożywienia oraz zapasy, przechowywane na poddaszu, mogły zaspokoić nasz głód. Problemem było tylko o to, żeby nie zapotrzebowano czegoś ze strychu i żeby tam ktoś nie zaszedł, ale i w takim razie mogłyśmy się ukryć w ciemności za pakami. To mnie trochę uspokoiło; zapytałam wszelako, jakim sposobem się wydostaniemy, skoro schodów nie ma, a drabina odstawiona. Amanda mi odpowiedziała, że zrobi drabinę ze sznurów, które leżały na strychu, i że będzie

można nawet ją z sobą zabrać i tym sposobem nie zostawić żadnego śladu, że ktoś był tam schowany.

Przez dwa następne dni Amanda nie próżnowała. Podczas nieobecności młynarza, który miał zajęcie w młynie, przeszukała wszystkie paki i skrzynie. W jednej z nich znalazła ubranie męskie, a przymierzywszy, że na nią pasuje, obcięła zupełnie włosy, kazała mi ostrzyć czarne jej brwi tuż przy skórze, a pokrajawszy na kawałki stare korki, które też znalazła między rupieciami, włożyła je sobie w usta, wypychając policzki. W ten sposób zmieniła swój wygląd i głos prawie nie do poznania.

Przez ten czas ja leżałam i odpoczywałam, nie ruszając się prawie wcale, pogrążona w takim bezmyślnym osłupieniu, że tylko z największym zajęciem przypatrywałam się jej przygotowaniom i nawet uśmiechałam się, kiedy udawało jej się zmienić kształt swojego oblicza.

Drugiego jednak dnia nie pozwoliła mi leżeć beczynnie, i wtedy znów wpadłam w bezdenną rozpacz. Pozwoliłam jej ufarbować moje jasne włosy i oblicze odpadłymi łupinami od orzechów, pozwoliłam uczernić moje białe zęby, a nawet dla zatarcia, o ile można podobieństwa, złamać przedni ząb. Mimo to nie miałam nadziei ujścia przed ręką mego okrutnego małżonka.

Nareszcie trzeciego dnia po pogrzebie urządzono stypę, na której wszyscy się upili. Nieprzytomnego młynarza zanieśli do łóżka, a potem żartując i rozmawiając o nowej gospodynie, która miała zająć miejsce poprzedniej, wyszli, zamykając drzwi, lecz nie obracając w nich klucza.

Okoliczności składały się dla nas pomyślnie. Amanda wypróbowała poprzedniej nocy drabinę swojej roboty, uwiązała tak dużą pętlicę, którą się na hak zakładało, że zeszedłszy na dół łatwo było zręcznym ruchem odczepić tę drabkę i zabrać ze sobą. Zapakowała do kosza stare ubrania i uwiązała go sobie na plecach, ażeby wyglądać na podróżującego piechura w towarzystwie żony. Wypchała mnie, ażeby zmienić moją figurę, nie zaniedbała nawet schować ubrania, jakie przedtem miała na sobie na sam spód skrzyni, z której wyjęła męski garnitur. Tak ucharakteryzowane spuściliśmy się ostrożnie z drabinki, odczepiliśmy ją i wyszliśmy po cichu na drogę, mając w kieszeni zaledwie kilkanaście franków, bośmy więcej w trwodze i pośpiechu nie mogli zabrać z zamku.

Ułożyliśmy plan podróży, leżąc na strychu. Amanda mi powiedziała, że dlatego mnie pytała wychodząc z zamku, od której strony przyjechaliśmy, że miała przekonanie, iż pierwsze poszukiwania robione będą w kierunku niemieckiej granicy; teraz jednak, po

upływie dni kilku, była tego zdania, że lepiej iść w tamtą stronę, gdzie mój akcent niemiecki mniej będzie zwracał uwagę. Co prawda, ona także mówiła normandzkim akcentem, z czego się nieraz pan de Tourelle naśmiewał. Przyjęłam skwapliwie tę propozycję i zwróciłyśmy nasze kroki ku mojej ojczyźnie, gdzie zadawało mi się, że będziemy bezpieczne pod ochroną prawa. Zapominałam, niestety, w jakich czasach żyłyśmy.

Nie będę ci nawet, córko moja, opowiadać, jakieśmy tę podróż odbywały, jak musiałyśmy walczyć z głodem, zmęczeniem, niewygodami, a bardziej jeszcze z obawą i niebezpieczeństwami. Przytoczę tu tylko dwa wypadki, jakie nas spotkały przed przybyciem do Frankfurtu.

Pierwszy z nich, aczkolwiek pomyślny dla mojego bezpieczeństwa, spowodował śmierć młodej niewinnej ofiary. Drugi wytłumaczy ci, dlaczego nie wróciłam do mego rodzinnego domu, jak to miałam zamiar uczynić. Nie umiem ci powiedzieć, jak podczas tej włóczęgi i niepokoików przywiązałam się do Amandy. Przychodziło mi czasem na myśl, że dlatego tak o nią dbam, że mi jest nieodzownie potrzebną, ale tak nie było. Powiedziała mi kiedyś, przerywając moje pochwały, że walczy równie o swoje jak o moje życie. Poza tym jednak nie rozmawiałyśmy z sobą o niebezpieczeństwach, które nam zagrażały, a tym mniej

o przeraźliwej przeszłości. O przyszłości nie śmiałyśmy marzyć; wszak nie byłyśmy nigdy pewne, czy dożyjemy jutra. Amanda wiedziała znacznie więcej niż ja o okrucieństwie bandy, do której należał pan de Tourelle.

Nieraz, kiedy zdawało się, że możemy oddychać bezpiecznie, natrafiałyśmy na ślad podążającego za nami pościgu.

Trzy tygodnie błąkałyśmy się po mniej uczęszczanych drogach, nie śmiejąc nawet zapytać, gdzie się znajdujemy, by nie posądzono nas o włóczęgostwo. Wreszcie uczułam się tak wyczerpaną, że Amanda zdecydowała się, cokolwiek by miało nastąpić, zapukać do pewnej kuźni, stojącej samotnie przy drodze. Podała się za wędrownego krawca, gotowego przerobić lub naprawić ubranie w zamian za nocleg i łyżkę strawy dla siebie i żony. Już parę razy przedtem próbowała tego sposobu i jakoś się udawało, gdyż jako córka krawca pomagała często ojcu i znała nie tylko krawiectwo, ale i zwyczaje i sposób gwizdania, po którym się fachowcy francuscy poznawali. U kowala znalazło się dużo ubrań oczekujących naprawy, przy tym byli tam chciwi usłyszeć nowinki ze świata, jakie zwykli byli przynosić wędrowni rzemieślnicy.

Zasiadłszy popołudniu owego listopadowego dnia w kuchni przy stole blisko okna, bo już zaczynało się

ściemniać, Amanda z założoną nogą na nogę zajęta była reparacją ubrania, ja tuż przy niej pomagałam jej w robocie, strofowana od czasu do czasu przez mego domniemanego męża. Raptem zwróciła się do mnie i szepnęła:

— Odwagi.

Słabo mi się zrobiło, lecz zebrałam wszystkie siły, ażeby stawić czoło niewiadomemu niebezpieczeństwu, siedząc bowiem tyłem do okna, nie wiedziałam, co nam zagraża.

Kuźnia znajdowała się w szopie obok domu, odwrócona frontem do drogi. Usłyszałam, że uderzenia młota ucichły, Amanda zaś spostrzegła, z jakiego powodu, i truchlała o następstwa. Oto nadjechał jeździec, zeskoczył z konia, prosząc kowala, żeby go podkuł, a podczas tej rozmowy czerwony ogień kuźni oświecił jego rysy.

Po kilku zamienionych słowach, kowal wprowadził jeźdźca do izby, w której się znajdowałyśmy.

— No, żono, kieliszek wina i coś do przegryzienia dla pana.

— Cokolwiek bądź, proszę pani, ażebym mógł wypić i przekąsić na poczekaniu, podczas gdy mi konia będą podkuwać. Śpieszę się bardzo, gdyż jeszcze dziś wieczorem muszę być w Forbach.

Amanda przed pięcioma minutami prosiła o światło, i właśnie kowalowa zapalała lampę. Jakże byliśmy wdzięczne, że nie zrobiła tego natychmiast!

Obecnie siedziałyśmy w cieniu, udając, że szyjemy zawzięcie; lampę zaś postawiła na kominie, przy którym grzał się mój mąż. Stojąc tak, zaczął się rozglądać po izbie, a wzrok jego przesunął się po mnie i Amandzie, która pogwizdując siedziała z założoną nogą na wprost niego. Odwrócił się znów do komina zacierając ręce, po czym zjadłszy i wypiwszy, począł się niecierpliwić.

— Dobra kobieto — rzekł — powiedz mężowi, żeby się pośpieszył, a podwójnie mu zapłacę.

Zona kowala wyszła spełnić jego zlecenie, on zaś odwrócił się znów w naszą stronę. Amanda nie przestawała gwizdać, on podchwytyjąc melodię, wtórował jej czas jakiś. W tym momencie wróciła Kowalowa. Podszedł żywo do niej, ażeby prędzej usłyszeć odpowiedź.

— Za chwileczkę, panie, za małą chwileczkę, gwóźdź odpadł od przedniej podkowy, mój mąż go przybija, bo mógłby koń podkowę zgubić, a toby pana znów zatrzymało,

— Ma pani słuszość — odpowiedział — ale mnie bardzo się śpieszy. Gdyby pani wiedziała z jakiego powodu, nie dziwiłaby się mojej niecierpliwości. Oto

niegdyś szczęśliwy małżonek, dziś zdradzony i opuszczony, ścigam tę, którą tak ubóstwiałem, a która nadużywając mego zaufania uciekła zapewne do kochanka, zabierając ze sobą klejnoty, pieniądze i wszystko, co jej wpadło w ręce. Może pani coś o niej słyszała, a może tędy przechodziła? Towarzyszyła jej niegodziwa panna służąca, którą nieszczęsny sam z Paryża sprowadziłem, nie domyślając się, jaką zmiję wpuszczam do domu!

— Czyż być może! — zawołała kowalowa.

Amanda nie przestawała gwizdać, tylko nieco ciszej, żeby nie przeszkadzać rozmowie.

— Ale ja je odnajdę! — mówił dalej, a jego piękne delikatne rysy przybrały wyraz szatańskiego okrucieństwa — już jestem na ich tropie i nie spocznę, póki ich nie znajdę. Pani mnie rozumie?

Skurczył twarz w sztucznym uśmiechu i oboje wyszli do kuźni w nadziei, że ich obecność przyśpieszy robotę.

Amanda wstrzymała na chwilę gwizdanie i szepnęła:

— Trzymaj się, siedź tak jak siedziałaś, niedługo pojedzie.

Przestroga ta była na miejscu, bo już, już byłabym się z płaczem rzuciła w jej objęcia, tak byłam przerażona. Lecz przewyciężyłam się i siedziałyśmy na

pozór obojętnie, ona fastrygując i gwizdząc, ja udając, że szyję. Było to bardzo dla nas szczęśliwie, bo on prawie w tejże chwili wrócił po swoją szpicrutę, którą zapomniał zabrać, i znów dojrzałam jego ostry, przenikliwy wzrok przeglądający wszystkie kąty izby.

Usłyszaliśmy nareszcie tętent odjeżdżającego konia; upuściłam robotę, drżąc i trzęsąc się, bo nie byłam już w stanie zapanować nad nerwami. Amanda powiedziała powracającej żonie kowala, że byłam zziębnięta z niewyspania i przemęczenia. Kobięcina miała dobre serce. Zachęciła mnie, żebym sobie wypoczęła i ogrzała się przy kominie, sama zaś zajęła się przygotowaniem sutszej niż zwykle kolacji z powodu naszej obecności i szczodrobliwości pana de Tourelle. Dała mi się napić trochę jabłecznika, co mi dobrze zrobiło. Mimo bowiem uprzednich upomnień Amandy, żebym w każdej okoliczności zachowywała zimną krew, mimo jej ostrzegawczych spojrzeń, nie mogłam odzyskać równowagi. Dla pokrycia mojego pomieszania Amanda przestała gwizdać i zaczęła rozmawiać z gospodynią, aż rozgadały się na dobre, kiedy przyszedł kowal. Zaczął od razu wychwalać pięknego i hojnego pana; i on i jego żona współczuli gorąco nieszczęściu, jakie go spotkało. Życzyli mu, żeby udało mu się jak najprędzej schwytać niegodziwą małżonkę i ukarać tak, jak na to zasługiwała.

Potem rozmowa przeszła na temat tajemniczej bandy rozbójników, tak zwanych Chauffeurów, czyli przypalaczy, którzy pod wodzą Schinderhanna grasowali na całym wybrzeżu Renu. Opowiadali o ich okrucieństwach i wymieniali takie szczegóły ich przeróżnych zbrodni, że wprost włosy stawały na głowie. Nawet Amandzie zaparło dech w piersiach, zbladła, źrenice jej się rozszerzyły, jeszcze jedna taka historia, a byłaby zemdląca. Spostrzegłszy, że patrzy na mnie, błagając pomocy, nabrałam nowych sił i wstawszy, przeprosiłam bardzo gospodarzy, mówiąc, że mąż i ja, tak jesteśmy znużeni niewyspaniem i męczącą podróżą, że bardzo bylibyśmy radzi położyć się do łóżka. Dodałam, że nazajutrz wstaniemy bardzo rano, ażeby wykończyć powierzoną nam robotę. Kowalowa poparła mój wniosek, a jej mąż dodał, że musielibyśmy być bardzo rannymi ptakami, gdybyśmy przed nim byli na nogach.

Wypoczynek nocny wrócił nam siły, wstałyśmy raniutko i wykończyły robotę, a po spożyciu obfitego śniadania, musiałyśmy wyruszyć w dalszą drogę. Wiedziałyśmy, że należy nam ominąć Forbach i że to miasto leży pomiędzy nami a krajem, do którego dążymy. Przez dwa dni kołowałyśmy i powróciły, o ile mi się zdaje na drogę do Forbach, tylko o jakąś milę

bliżej niż od kuźni. Obawiając się pytać o drogę, nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy.

Pewnego wieczoru natrafiłyśmy na małe miasteczko, z dużą oberżą w środku głównej ulicy. Zdawało nam się, iż będziemy bezpieczniejsze w mieście, niż w wiejskim osamotnieniu. Parę dni przedtem sprzedałyśmy mój pierścionek wędrownemu jubilerowi, który zbyt był kontent, że nabywa go za połowę ceny, ażeby się wypytać, jakim sposobem klejnot ten dostał się w ręce ubogiego krawca. Miałyśmy więc trochę pieniędzy i postanowiłyśmy przenocować w tej oberży i wywiedzieć się trochę, gdzie jesteśmy, ażeby nazajutrz udać się we właściwym kierunku.

Wynajęłyśmy od gospodarza mały pokoik w podwórzu nad stajniami, zasiadłyśmy w najciemniejszym kąciку sali jadalnej, ażeby spożyć kolację, gdyż byłyśmy bardzo głodne. Jadłyśmy pośpiesznie, w połowie jednak naszego posiłku zatoczył się przed bramę dyliżans, wysypali się z niego podróżni i większość z nich zaległa jadalnię, w której siedziałyśmy skurczone i drżące. Pomiedzy podróżnymi znajdowała się młoda jasnowłosa pani w towarzystwie starszej francuskiej służącej. Znalazłszy się w ogólnej izbie, pełnej ludzi i niezbyt przyjemnych zapachów, cofnęła się i poprosiła, ażeby jej dano prywatny

apartament. Mówiła po francusku z nieco niemieckim akcentem. Po jej odejściu dowiedziałyśmy się z dosłyszanych rozmów, kpinkowatych uwag i docinków, iż pani ta starała się w podróży, może z nieśmiałości, a jak sądzono z dumy, unikać swoich współtowarzyszy, czym ich na siebie zraziła. Amanda zrobiła po cichu uwagę, że włosy tej pani były zupełnie tej barwy co moje, nim je obcięła i spaliła w owym młynie, podczas jednej ze swoich wycieczek po drabinie do kuchni.

Kiedy tylko zjadłyśmy, wysunęłyśmy się po cichu z sali, zostawiając tam hałaśliwe towarzystwo przy kolacji. Przeszłyśmy przez podwórko i pożyczwszy latarki od stajennego, wdrapałyśmy się ze stajni po drabinie, innego bowiem wejścia nie było do naszej izdebki. Byłyśmy bardzo znużone, toteż zasnęłyśmy natychmiast.

Obudził mnie hałas w stajni. Po chwili zbudziłam Amandę, kładąc jej rękę na ustach, ażeby nie krzyknęła. Tam na dole rozmawiał mój mąż ze stajennym, dając mu rozkazy, dotyczące się jego wierzchowca. Poznałyśmy doskonale jego głos i nie śmiałyśmy nawet głośniej oddychać. Po pięciu minutach opuścił stajnię i podsunawszy się po cichu pod okienko, ujrzałyśmy, jak przeszedł podwórko i wszedł do oberży. Zaczęłyśmy się naradzać, co uczynić, obawiałyśmy się opuścić naszą izdebkę, żeby nie zwrócić uwagi, a chciałyśmy uciekać.

Tymczasem stajenny wyszedł, zamykając na klucz stajnię.

— Musimy próbować wydostać się przez okno... a może lepiej byłoby nie ruszać się wcale — zauważyła Amanda.

Po namyśle przyszła rozwaga. Wzbudziłybyśmy stanowczo podejrzenie uciekając, nie zapłaciwszy nawet rachunku; a żeśmy musiały iść piechotą, łatwo nas było dogonić. Usiadłyśmy tedy na krawędzi łóżka, szepcząc i przyciskając się do siebie z przerażenia; a tam na dole bawiono się ochoczo i wybuchy śmiechu dochodziły naszych uszu. W końcu towarzystwo się rozeszło, widziałyśmy przez okno światła, przesuwające się po schodach, i wszyscy udali się na spoczynek do swoich pokoi.

Wsunęłyśmy się do łóżka, tuląc się do siebie i nasłuchując, czy nie usłyszymy jakiegoś szmeru, zwiastującego nam chwilę śmierci. Czułyśmy bowiem, że on był na naszym tropie.

W głębokiej ciszy nocy, nad samym ranem dosłyszałyśmy ciche tajemnicze kroki, skradające się przez podwórze. Klucz przekrecono i ktoś wsunął się do stajni. Można powiedzieć, żeśmy to raczej odczuły, niż usłyszały. Koń poruszył się, uderzył kopytem o podłogę, po czym zarżał poznawszy swego pana. Ten cmoknął nań z cicha, odwiązał i wyprowadził

wierzchowca na podwórze. Amanda skoczyła jak kot ku oknu, wyjrzała, lecz nie wyrzekła słowa. Usłyszałyśmy, jak otwierano ostrożnie bramę, potem nastąpiła chwila ciszy, podczas której jeździec dosiadł konia, i uszu naszych doszedł oddalający się tętent.

Dopiero gdy odgłos ten ustał w oddaleniu, Amanda wróciła do mnie, mówiąc:

— Tak, to był on, ale już odjechał.

Wtedy drżące jeszcze z przerażenia, położyłyśmy się na powrót do łóżka i spałyśmy aż do późnej godziny. Zbudził nas dopiero odgłos przyspieszonych kroków i pomieszanych głosów. Zdawało się, że wszyscy są zaniepokojeni jakimś zdarzeniem.

Zerwałyśmy się i ubrałyśmy szybko i po zejściu do stajni upewniłyśmy się jednym rzutem oka, czy nie ma go w zgromadzonym na podwórzu tłumie.

Zaledwie nas ujrzano, przyskoczyło do nas kilka osób.

— Czy wiecie? Czy słyszeliście? Ta biedna młoda pani... pójdźcie zobaczyć!

I zostałyśmy mimo woli wciągnięte przez podwórze do oberży, tam tłum nas prawie wniósł na wielkie schody do pokoju, gdzie na łóżku leżała blada i nieruchoma postać młodej, pięknej pani. Przy niej stała Francuzka, płacząc i zawodząc.

— Ach moja pani, gdybyś mi była pozwoliła zostać ze sobą! Ach! Cóż pan baron powie!

I tak dalej lamentowała. Niestety to zostało dopiero co odkryte, przypuszczano bowiem, że baronowa, zmęczona podróżą, długo odpoczywa. Oberżysta posłał po chirurga, sam zaś starał się utrzymać porządek, popijając dla animuszu wódeczkę i częstując nią gości, którzy tłoczyli się na równi ze służbą.

Nareszcie przybył chirurg i wszyscy cofnęli się trochę, żeby mu zostawić miejsce.

— Ta pani — objaśniał gospodarz — przyjechała wczoraj wieczorem dyliżansem ze swoją służącą. Widocznie musiała być wielką damą, bo zażądała prócz sypialni oddzielnego bawialnego pokoju.

— To była pani baronowa von Roeder — oświadczyła Francuzka.

— Trudno ją było zadowolić, tak była wymagająca pod względem kolacji. Wprawdzie zmęczona podróżą, ale zdrowa zupełnie położyła się do łóżka. Służąca opuściła pokój...

— Prosiłam, żeby mi pozwoliła zostać z sobą w tej nieznannej nam oberży, ale nie zgodziła się na to. To była wielka arystokratka — wtrąciła Francuzka.

— No i nocowała z moją służbą — kończył oberżysta. — Z rana sądziliśmy, że pani zasnęła, ale

kiedy do jedenastej nie dała znaku życia, kazałem pannie służącej otworzyć drzwi moim drugim kluczem i zajrzeć do pokoju.

— Drzwi nie były zamknięte na klucz, tylko na klamkę, i znalazłam ją umarłą, bo wszak ona nie żyje? Z twarzą na poduszkach z pięknymi włosami rozrzuconymi w nieładzie; nie pozwalała mi nigdy wiązać ich na noc, mówiąc, że ją głowa od tego boli. Takie cudne włosy! — mówiła służąca, podnosząc złoty splot do góry.

Przypomniałam sobie słowa, jakie wyrzekła wieczorem Amanda, i do niej się przytuliłam.

Tymczasem lekarz badał ciało, włożywszy rękę pod kołdrę, której dotąd gospodarz nie pozwolił ruszyć. Niebawem wyciągnął rękę całą zakrwawioną, trzymając w niej krótki sztylet z przywiązaną doń kartką.

— Tu popełniono zbrodnię — rzekł — ta pani została zamordowana, sztylet tkwił w sercu ofiary.

Włożywszy okulary, z trudem przeczytał nakreślone słowa na mocno zakrwawionym papierze:

Numéro Un. Comment les Chauffeurs se vengent
(Zemsta Les Chauffeurs)

— Chodźmy — szepnęłam do Amandy — uciekajmy z tego straszego miejsca.

— Poczekajmy — odrzekła — Lepiej, żebyśmy się trochę zostały.

Wszyscy jednogłośnie orzekli, że nikt inny nie mógł być mordercą tylko ów pan, który przyjechał konno i wszedł do sali jadalnej zaraz potem, kiedyśmy ją opuściły. Wszyscy podróżni rozmawiali wtedy o młodej jasnowłosej pani, której postępowanie krytykowano. Ów jegomość interesował się mocno tą panią, wypytywał skwapliwie o wszystkie szczegóły jej dotyczące i dopiero dowiedziawszy się o nich oświadczył, że ważny interes zmusza go do wyruszenia o brzasku w dalszą podróż. Zapłacił zatem rachunek i otrzymał klucze od stajni i bramy, ażeby nikogo nie budzić. Słowem jeszcze przed nadejściem policji, po którą lekarz posłał, powszechnie uznano go za mordercę.

Cóż, kiedy słowa wyryte na karteczce wszystkim zmroziły krew w żyłach. Les Chauffeurs! Kimże oni byli? Nikt ich nie znał. Ktoś z ich bandy mógł się znajdować pomiędzy publicznością i zanotować ofiarę nowej pomsty. W Niemczech mało słyszałem o tej potwornej bandzie, w Karlsruhe opowiadano o niej, ale słuchałam tak, jak się słucha bajki o ludożercach. Tu jednak w ich ojczyźnie, poznałam dopiero w całej pełni trwogę, jaką wzbudzali. Nikt nie chciał przeciwko nim świadczyć, nawet agent policyjny cofnął się przed

wypełnieniem swego obowiązku. Jakże się dziwić, nawet my, któreśmy mogły dostarczyć wyczerpujących i druzgocących wiadomości o sprawcy morderstwa, nie śmiałyśmy ust otworzyć i udawałyśmy, że o niczym nie wiemy. Czyż mogłyśmy biedne, samotne, zgnębione i przerażone kobiety, walczyć przeciw tym, przed którymi wszyscy drżeli, a których zemsta i tak nas ściagała, czego dowodem martwe ciało biednej ofiary, którą za mnie wzięto.

W końcu Amanda podeszła do gospodarza i zupełnie otwarcie poprosiła o pozwolenie opuszczenia oberży, na co też jej pozwolono. Zapłaciwszy tedy rachunek, puściłyśmy się w drogę i w kilka dni później byłyśmy po drugiej stronie Renu w Niemczech, kierując się ku Frankfurtowi. W dalszym jednak ciągu nie zmieniałyśmy przebrania i Amanda zarabiała, trudniąc się krawiectwem.

W drodze spotkałyśmy podróżującego młodego czeladnika z Heidelbergu, którego dawniej znałam. Nie poznał mnie, z czego byłam rada. Zapytałam się go, udając obojętność, jak się miewa stary młynarz. Odpowiedział, że już nie żyje. Tak tedy sprawdziły się najgorsze moje przeczucia, spowodowane długim milczeniem ojca. Ostatnia deska ratunku usuwała się z pod nóg. Nie dalej, jak tegoż samego dnia zapewniałam

Amandę, że w domu ojca znajdzie spokój, wygody i bezpieczeństwo na resztę dni swoich, gdyż wdzięczność za wyświadczone mi przysługi nie będzie miała granic. Wszystko to obiecywałam w szczerości serca, a sobie jeszcze więcej, gdyż spodziewałam się znaleźć opiekę, radę i ukojenie przy rodzicielskim sercu, ale to serce już nie biło i już nigdy nie miałam ujrzeć mojego drogiego ojca!

Opuściłam spiesznie izbę, w której usłyszałam tę wieść hiobową. Po jakimś czasie Amanda przyszła za mną i zaczęła mnie pocieszać, jak umiała. Powoli dodawała różne szczegóły, jakich się dowiedziała z dalszej rozmowy z heidelberczykiem. Otóż brat mój z żoną mieszkał dalej w starym młynie, ale jak mówił, Babetta całkiem opanowała męża, który patrzył na świat tylko jej oczyma.

W ostatnich czasach dużo w Heidelbergu chodziło plotek o bliskiej zażyłości Babetty z pewnym wielkim panem francuskim, który się zjawił we młynie. Był to podobno małżonek siostry młynarza, który opowiadał, że żona zdradziła go haniebnie, postąpiła z nim niegodnie. Nie był to chyba powód dla Babetty, aby się z nim zaprzyjaźnić, tym niemniej wszędzie się z nim afiszowała, a nawet gdy już opuścił Heidelberg, korespondowała z nim ciągle, o czym ów czeladnik doskonale był powiadomiony. Brat mój zaś podobno tak

był zmartwionym śmiercią ojca i przewrotnością siostry, że zupełnie stracił głowę i nie orientował się w postępowaniu żony.

— To dowodzi — ciągnęła dalej Amanda — że pan de Tourelle przypuszczał, iż pani wróci do swego rodzinnego gniazda i tam się udał, a nie zastawszy jej w młynie, zapewnił sobie na wszelki wypadek donosicielkę, która by go w danym razie powiadomiła o pani powrocie. Z tego, co pani mi mówiła, jej bratowa nigdy jej nie lubiła, a podłe oszczerstwo, rzucone umyślnie przez pana de Tourelle, nie poprawiło sprawy. Widocznie wracał on stamtąd, kiedyśmy go spotkały niedaleko od Forbach i posłyszawszy o niemieckiej jasnowłosej pani, podróżującej w towarzystwie francuskiej służącej. Sądził, że to my jesteśmy i podążył ich śladami. Obecnie, o ile zechce pani iść za moją radą, a mam nadzieję, moje drogie dziecko, że mi zawierzysz — dodała porzucając ton pełen szacunku, z jakim zwykle do mnie się odzywała — to udamy się do Frankfurtu, który — jak mi mówiłaś — jest wielkim miastem, i tam przynajmniej na jakiś czas zgubimy się w tłumie. Będziemy nadal uchodzić za męża i żonę, najmę małe mieszkanko, będziesz siedziała w domu i zajmowała się gospodarstwem, ja zaś jako silniejsza i czujniejsza będę dalej zarabiała na chleb rzemiosłem mego ojca.

Trudno byłoby o lepszą radę. Najęłyśmy dwa małe umeblowane pokoiki na szóstym piętrze w jednej z podrzędniejszych ulic Frankfurtu. Do pierwszego z nich nie dochodziło wcale światło dzienne, gdyż nie posiadał okna i wciąż musiała tam się palić lampka. Sypialny pokoi, aczkolwiek jeszcze mniejszy, miał okno, więc był trochę weselszy. I tak komorne za te nędzne pokoje przechodziło naszą możliwości. Pieniądze otrzymane za pierścionek rozeszły się już były prawie zupełnie, a słaba była nadzieja, żeby Amanda nie znając nikogo i mówiąc tylko po francusku — w języku znienawidzonym przez tubylców — mogła łatwo znaleźć zarobek. Jednakowoż nam się poszczęściło, tak że nawet odłożyłyśmy cośkolwiek na czas mego rozwiązania. Nie ruszałam się z domu, a niewładająca niemieckim Amanda nie nawiązywała też żadnych znajomości, oprócz tych niezbędnych.

Nareszcie przyszło na świat moje dziecko, moje biedne, gorzej niż pozbawione ojca dziecko! Uprosiłam Boga, żeby to nie był chłopiec, ponieważ obawiałam się, żeby nie odziedziczył dzikiej zwierzęcej natury swojego ojca. Córeczka za to była moją własną, lecz nie wyłącznie moją, gdyż wierna Amanda wprost szalała za dzieckiem i więcej je pieściła niż rodzona matka.

Musiałśmy poprzestać na pomocy akuszerki z sąsiedztwa. Odwiedzała nas często, przynosząc

zazwyczaj jakieś ploteczki związane najczęściej z jej zawodem. Pewnego razu zaczęła mi opowiadać o tym, że córka jej służyła za pomywaczkę u wielkiej pięknej pani, żony również urodziwego męża. Nieszczęścia jednak nawiedzają równie bogate pałace jak ubogie chatki. Niewiadomo, w jaki sposób pan baron von Roeden musiał na siebie ściągnąć pomstę Chauffeurów, gdyż kilka miesięcy temu pani baronowa, jadąc odwiedzić swoich krewnych w Alzacji, została zasztyletowana w łóżku podczas noclegu w przydrożnej oberży.

— Czy pani o tym nie słyszała? Wszak to było ogłoszone we wszystkich gazetach. Opowiadano nawet, że na całej drodze do Lugdunu rozlepione były plakaty ofiarujące sutą nagrodę temu, któryby baronowi von Roeden dostarczył wskazówki o mordercy jego żony. Nie ma wszelako nadziei, żeby mu kto w tym dopomógł, gdyż wszyscy żyją sterroryzowani przez Chauffeurów. Wszak mówią, że liczą się oni na setki. Są pomiędzy nimi nie tylko ubodzy kmiotkowie, lecz także bardzo bogaci szlachcice. Są związani strasznymi przysięgami zabijania każdego, kto odważyłby się przeciwko nim świadczyć. Zatem nawet ci, którzy nie przypłacili życiem zadawanych im w celu wydobywania skarbów okrutnych tortur, nie mają odwagi poznania ich w sądzie. Wiedzieli bowiem, że jeśli jednego

Chauffeura stracą, stu innych pomści śmierć towarzysza.

Powtórzyłam to Amandzie i znów żyłyśmy w śmiertelnym strachu, że pan de Tourelle lub Lefebvre, dowiedziawszy się o swojej pomyłce, zacznie nas na powrót poszukiwać.

Ta obawa wpłynęła ujemnie na moje zdrowie. Miałyśmy za mało pieniędzy, ażeby sobie pozwolić na wezwanie znanego specjalisty, ale Amanda robiła jakieś reparacje u młodego lekarza i uprosiła go, żeby mnie odwiedził. Był on prawie równie jak my ubogim, lecz zdolnym lekarzem i bardzo dobrym człowiekiem. Badał mnie i leczył nader troskliwie. Powiedział Amandzie, że musiałam przejść jakiś straszny wstrząs, z którego mój system nerwowy nigdy się nie wyleczy. Niedługo wymienię nazwisko tego doktora, a wtedy zdasz sobie, moja córko, lepiej sprawę z jego szlachetnego charakteru niż ja to potrafię opisać.

Po jakimś czasie o tyle doszłam do sił, że mogłam się zająć domowym gospodarstwem, resztę zaś czasu spędzałam w oknie na poddaszu, wygrzewając się z dzieckiem na słońcu, obawiałam się bowiem ruszyć z domu. Aczkolwiek chodziłam w tym samym przebraniu, aczkolwiek czerniałam dalej twarz i włosy ekstraktem z obierzyn orzechowych, lecz trwoga, w której od tak dawna żyłam, tak mnie opanowała, iż

mimo próśb i nakazów tak doktora, jak Amandy, nie mogłam się przezwyciężyć do wyjścia między ludzi.

Pewnego dnia Amanda wróciła z roboty z różnymi dobrymi i mniej dobrymi wiadomościami. Majster, który ją zatrudniał, wysyłał ją z kilkoma czeladnikami na drugi koniec miasta.

Zakładano tam nowy prywatny teatr i było dużo roboty z przygotowaniem kostiumów, a że było to bardzo daleko od centrum miasta, przeto krawcy mieli tam zamieszkać aż do pierwszego przedstawienia. Zarobek za to miał być podwójny.

Drugą nowiną było, iż spotkała przypadkiem na ulicy owego wędrownego jubilera, któremu sprzedałyśmy pierścionek. Był to klejnot niezwykły, dany mi niegdyś przez pana de Tourelle. Obawiałyśmy się już wtedy, żeby nie naprowadził na nasze ślady, ale cóż miałyśmy zrobić, będąc bez grosza. Otóż zdawało się Amandzie, że on ją poznał i jakiś złowrogi blask zaświecił w jego oczach. Utwierdziła się w tym mniemaniu, spostrzegłszy, że ów człowiek idzie za nią, po drugiej stronie ulicy.

Korzystając jednak z lepszej znajomości miasta i z zapadającego zmroku, zmyliła jego ślady. W każdym razie uważałyśmy, że dobrze, iż już nazajutrz rano oddali się na pewien czas z okolicy, w której nastąpiło to spotkanie. Amanda przyniosła z sobą dużo zapasów i

błagała, żebym się nie ruszała z domu, zapominając, że nigdy nawet ze schodów nie schodziłam; lecz moja biedna, wierna, poczciwa Amanda dziwnie była poruszona tej nocy, ciągle wspominała o śmierci, co bywa złą przepowiednią dla żywych. Ciebie, moja córko, boć to ciebie wyniosłam w łonie z domu twego ojca (po raz pierwszy daję mu ten tytuł i tylko raz jeszcze go użyję), ciebie, która byłaś naszą jedyną pociechą, obcałowywała tak, iż wcale się oderwać od ciebie nie mogła... w końcu wyszła.

Tak przeszły dwa dni; trzeciego dnia wieczorem siedziałam obok ciebie, uśpionej na swojej poduszeczce, kiedy usłyszałam na schodach kroki. Zmierzały ku naszemu mieszkanku, gdyż nikt więcej tym na piętrze nie mieszkał; ktoś zastukał... Przerazona wstrzymałam oddech;. Ten ktoś jednak przemówił i poznałam głos doktora Vossa. Wtedy podeszłam do drzwi i odezwałam się.

— Czy pan sam? — zapytałam po cichu.

— Tak jest — odrzekł jeszcze ciszej — niech mnie pani wpuści.

Uczyniłam to, a on z większym jeszcze pośpiechem drzwi zamknął i zarygłował. Następnie zwolna, ostrożnie przygotowując mnie na ten cios, powiedział straszną wiadomość. Przybywał prosto ze szpitala, położonego na drugim końcu Frankfurtu. Byłby

przyszedł wcześniej, ale umyślnie zbaczał, w obawie, żeby go kto nie wytropił. Wracął od łoża śmierci Amandy. Sprawdziły się aż nadto jej obawy, spowodowane spotkaniem jubilera. Z rana tegoż dnia wysłano ją na miasto po sprawunki, musiała być śledzoną i w powrotnej drodze pomiędzy ułożonymi balami nowo budującego się domu znaleźli ją robotnicy śmiertelnie ranną, ze sztyletem w piersi i kartką, taką samą, różniącą się tylko tym, że numer pierwszy był podkreślony, ażeby zwrócić uwagę, iż wiedziano o popełnionej omyłce.

Numéro Un. Comment les Chauffeurs se vengent

Podnieśli ją i wnieśli do domu, udzielając pierwszej pomocy, dopóki nie odzyskała przytomności, ale nawet wtedy ta wierna, droga przyjaciółka i siostra, nie chciała ze względu na moje bezpieczeństwo wyjawić swojego adresu, o którym żaden z jej współpracowników nie wiedział. Życie ulatywało, zaniecono ją tedy do najbliższego szpitala, gdzie naturalnie przekonano się, iż jest kobietą; ale szczęśliwie dla niej i dla mnie dyżurnym lekarzem był właśnie znany nam doktor Voss. Podczas gdy posłano po księdza, którego zażądała, wyjawiała doktorowi w kilku słowach nasze położenie. Podczas bytności spowiednika umarła.

Opowiedział mi to z wielką ostrożnością, pocieszając jak umiał, dopiero późnym wieczorem mnie opuścił, w ciągłej obawie, czy go kto nie śledzi. Tym razem jednak obawy były płonne; przy tym, jak mi później opowiedział, baron von Roeder, dowiedziawszy się o zabójstwie tak zupełnie przypominającym śmierć jego żony, zarządził taki pościg za mordercami, że aczkolwiek ich nie złapano, ale zmuszono do ucieczki z tych okolic, przynajmniej na jakiś czas.

Trudno mi opowiedzieć ci, jakimi argumentami doktor Voss, dzieląc się ze mną swoim z początku skromnym zarobkiem, skłonił mnie do zostania jego żoną. Tak jest, jego żoną, gdyż przeszliśmy przez ceremonię kościelną, tak bardzo w owych czasach lekceważoną. Prawda, nie staraliśmy się o rozwód, który byłoby się łatwo otrzymało, zważywszy, że ja byłam protestantką, pan de Tourelle zaś utrzymywał, iż jest kalwinem, lecz czy podobna było wzywać tak straszego człowieka przed sąd konsystorski?

Zabrał mnie i moje dziecko po kryjomu do siebie i żyłam tam, nie wychodząc wcale z domu. Aczkolwiek mój mąż nie życzył sobie, żebym po zblaknięciu farby znów jej używała, okazało się, że i tak nikt by mnie nie byłby mógł poznać, gdyż moje złote włosy stały się siwymi, a biała pleć tak szarą, że mała ilość osób, które mnie widywały, przezwały mnie Szarą Damą. Znano

mnie tylko jako panią Voss, znacznie starszą od niego wdowę, z którą doktor ożenił się w sekrecie.

Nadał ci swoje nazwisko i dotąd nie wiedziałaś, że nie jesteś córką, nie czułaś też nigdy braku ojcowskiego serca, dopóki żył nasz drogi przyjaciel. Jeszcze jeden, jedyny raz doznałam uczucia dawnej trwogi. Nie pamiętam już z jakiej przyczyny, wbrew memu zwyczajowi, podeszłam do okna mojego pokoju, żeby je otworzyć. Kiedy wyjrzałam na ulicę, spostrzegłam po przeciwnej stronie na trotuarze pana de Tourelle, równie młodego, wesołego i wykwintnego jak dawniej. Na odgłos otwieranego okna spojrział w górę. Ujrzał starą siwą kobietę i choć nasze oczy spotkały się, nie poznał mnie! Minęło zaledwie trzy lata, odkąd się rozstaliśmy, a on posiadał przecież sokoli wzrok.

Opowiedziałam o tym panu Vossowi, jak tylko wrócił do domu. Starał się mnie uspokoić, lecz widok pana de Tourelle tak wstrząsnął moimi nerwami, że przez kilka miesięcy nie mogłam przyjść do siebie.

Zobaczyłam go raz jeszcze... Umarłego. Baronowi von Roeder udało się w końcu osaczyć i schwycić go wraz Lefebvrem, przyłapać na gorącym uczynku popełniania kolejnej zbrodni. Pan Voss wiedział o ich zaaresztowaniu i skazaniu na śmierć, lecz nic mi o tym nie mówił. Dopiero któregoś dnia poprosił mnie bardzo, żebym mu towarzyszyła i zawiózł mnie gdzieś daleko.

Poprowadził przez bramę więzienną na zamknięty dziedziniec. Tam ubrani i ułożeni w trumnach tak, że nie widać było śladów ścięcia, leżeli pan de Tourelle i kilku jego towarzyszy znanych mi z Les Rochers.

Przekonawszy mnie w ten sposób o śmierci moich prześladowców, mąż mój starał się nakłonić mnie do mniej odosobnionego sposobu życia. Ulegałam czasem jego prośbom, lecz widział, że mnie to tak wiele kosztowało, iż w końcu dał za wygraną.

Znasz resztę, wiesz, jak gorzko opłakiwałyśmy tego drogiego męża i ojca, gdyż zawsze go za takiego uważaj, moje dziecko! Nigdy nie byłabym ci zrobiła tego wyznania, gdyby nie to, że dopiero wczoraj powiedział mi ten, którego poznałaś i pokochałaś jako pana M. Lebruna, francuskiego artystę, iż jego prawdziwym nazwiskiem — brzmiącym zbyt arystokratycznie, a ukrytym z obawy przed rewolucjonistami — jest Maurycy de Poissy.

Elizabeth Gaskell

Szara dama

Tytuł oryginału:

The Grey Woman

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki: *Alicja Więckowska - STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-195-4

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl